

Feliks Milan

Nagrane dnia 27 października 1989r.

ARCHIWUM WŚRODNI

Nazywam się Feliks Stanisław Milan, urodziłem się 22 lipca 1927r. w Drohobyczu. Ojciec mój był kupcem, byliśmy rodziną raczej zamożną, matka nigdzie nie pracowała, zajmowała się domem. Mam jednego brata, który ma na imię Roman. Tam, w Drohobyczu, na terenach ropo- nośnych obok Borysławia, ludziom trochę inaczej się żyło niżeli w innych miejscowościach, ponieważ nafta przyciągała wielu ludzi, którzy byli operatywni i przedsiębiorczy, ci ludzie stwarzali sobie lepsze warunki życia. Miałem 13 rok życia, skończyłem piątą klasę szkoły podstawowej, kiedy nadszedł 39 rok. Był to dla nas szok. Po jakieś dwóch tygodniach, przeszło, wkroczyła armia niemiecka do Drohobycza. Drohobycz nie stawiał oporu. Powołany został komitet obywatelski przekazania miasta, m. in. mój ojciec był również w tym Komitecie, i Niemcy wkroczyli bez żadnych większych strat dla miasta. Władze polskie wycofując się podpaliły rafinerię Polmin, która miała znaczenie bardzo strategiczne, ponieważ gotowe zbiorniki z ropą, naftą, tam były. Poza tym większych zakłóceń w życiu nie było. Wojska niemieckie przebywały w Drohobyczu około tygodnia, bo wkroczyły gdzieś przed 17 września, a już 27 czy 23 września wkroczyli Rosjanie. Pamiętam, była to niedziela, bardzo ponury dzień, mżył kapuśniaczek, pogoda była taka pochmurna, smutna. W tym dniu wkroczały patroli radzieckie. Wzdłuż ulic postawieni byli (ustawieni?) Ukraińcy, no i mnóstwo Żydów, którzy wivatowali na cześć wkraczającej armii radzieckiej. Ta armia w porównaniu z polską robiła wrażenie straszne. Byli to ludzie brudni, w jakichś takich szarych szynelach strzępiących się, karabiny długie, jeszcze takie przedpotopowe, z długimi bagnietami, buty z jakiegoś tworzywa sztucznego, tzw. kierz, powykręcane. Brudne. Ludzie ci wyglądali jakby się od tygodnia w ogóle nie myli.

Na twarzach byli bardzo brudni. Myśmy ich oglądali z rodzicami z okna, zza firanki. W tym dniu, pamiętam, cała nasza służba, służąca (bo to była przeważnie służba ukraińska) - wszyscy uradowani poszli do miasta, też wiwatowali. Jakoś względnie w domu zachowywali się, nie byli tacy agresywni czy wrogo nastawieni, ale chcieli nas przekonać, że teraz to dopiero nastąpi szczęście, raj na ziemi, teraz dopiero będzie Ukraina, teraz będzie wszystko to, co było marzeniem tych ludzi. Oczywiście w szybkim czasie się przekonali, że to nie jest tak. Rosjanie początkowo przejmowali wszystkie urzędy, do nas jednego dnia w październiku przyszli, spisali wszystkie rzeczy, ojca znacjonalizowali jednego z pierwszych. Zostaliśmy tylko w tym, co mieliśmy do ubrania, reszty nie wolno nam było ani wynieść, ani sprzedać. Dzięki temu, że ojciec miał znajomości, tzn. mieliśmy sąsiada, niejakiego pana Seredę, który był przed wojną naczelnym inżynierem Polminu i przypadkowo został wybrany do Rady Najwyższej Zw. Radzieckiego razem z Wandą Wasilewską (dwóch delegatów z terenów Zachodniej Ukrainy) - ten pan na tyle okazał się przychylny, że próbował nas ratować w ten sposób, że zwolnili nam z nacjonalizacji mieszkanie, tzn. zostawili nam dwa pokoje z kuchnią, pozostałe pokoje zabrali i dali komu innemu. Wszystko pozostałe zostało znacjonalizowane; nie przesiedlili nas do innej miejscowości i nie wywieźli. Na razie. W 40 roku w jesieni zaczęły się wywózki Polaków do Zw. Radzieckiego. Pamiętam, jak przychodziliśmy do szkoły i nauczycielka wyczytywała dziennik. Każdego dnia po każdej wywózkę kilkorob dzieci w klasie brakowało. Więc odpowiadaliśmy "został wywieziony". Nauczycielka, to była żydówka, udawała, że tego nie słyszy, robiła ednotacje, skreślała z dziennika i tak było. Doszło do tego po kilku takich wywózkach, że myśmy byli tak wszyscy przerażeni, że normalnie wychodząc ze szkoły po lekcjach, myśmy się wszyscy bardzo sędecznie żegnali. Dlatego, że nie wiedzieliśmy, czy jutro przyjdziemy na lekcje. Mnie los jakoś

oszczędził, nie zostaliśmy wywiezieni. Cała służba odeszła. Ojciec poszedł pracować do jakiejś ~~zwykłej~~ spółdzielni jako zwykły robotnik. Zarabiał chyba 270 rubli, to było strasznie mało, nie wystarczało na przeżycie. Przez cały czas matka sprzedawała rzeczy z domu: odzież, inne rzeczy i w ten sposób dociągaliśmy do 41 roku. W 41 roku przyszli Niemcy. Przyszli bardzo szybko po wybuchu wojny, po paru dniach. Ucieczka tych żołnierzy radzieckich była straszna. W takiej panice, w takim popłochu, jak uciekali Rosjanie, prawie w bieliźnie - żadna armia chyba na świecie tak się nie wycofywała. Byli strasznie przerażeni. Niemiec bardzo szybko sobie z nimi poradził i oni odstąpili. Ale w ostatnich dniach przed przyjściem Niemców zaczęły się masowe aresztowania Polaków. Między innymi mój wujek został aresztowany, był głównym księgowym na rafinerii Galicja, wielu sąsiadów, znajomych, po których wszelki ślad zginął, do dziś nie wiadomo, gdzie są. Aresztowało ich NKWD. Pierwszego dnia po wkroczeniu Niemców, zaraz rano koło siódmej, ósmej, wyszedłem ze starszym kolegą na miasto i zauważyłem ludzi idących w kierunku NKWD, przedwojennego sądu. Weszliśmy tam, tłum ludzi, krzyki, płacz - tragiczna sytuacja. Co się okazuje: na dziedzińcu tego sądu, urzędu NKWD - odkryto mogiły masowo pomordowanych ludzi. Spędzono tutaj Żydów, którzy odkopywali groby, widziałem, osobiście widziałem dwa rzędy nogami do siebie, ale to było kilka warstw trupów. Tworze oblane chlorkiem, więc popalone, ręce powiązane drutem kolczastym do tyłu lub do przodu, niektórzy mieli nogi powiązane, byli bez obuwia, tylko w koszuli i w spodniach, niektórzy tylko w bieliźnie. Nie wiem, co to byli za ludzie, prawdopodobnie to byli ci więźniowie, którzy w ostatnim czasie zostali zamordowani. Skwapliwie z tego korzystała propaganda niemiecka, ponieważ bardzo dokładnie to filmowali: ten grób, zachowanie się ludzi. I tu się zaczął pierwszy pogrom Żydów w mieście. Oczywiście pogrom zaczęli Ukraińcy i oni prowadzili. W sposób bestialski zabijali tych Żydów, spędzali do tych grobów, pokazywali te trupy. Takie bezkrólewie trwało 24 godziny.

Do dwunastej w nocy Niemcy u<sup>ci</sup>łócili chaos, wprowadzili porządek i zaczęli zbierać kolejne ofiary tego całego nieszczęścia. Tych Żydów, którzy zostali zamordowani, dzieci, kobiety, rannych zważili do szpitala itd. Tak trwały pierwsze dni niemieckiej okupacji. Żydzi byli wykorzystywani do zamiatania ulic, jeszcze mieszkali między Polakami, nie spodziewali się, co ich c<sup>z</sup>eka, byli przerażeni.

Niemcy Polaków w dystrykcie Galicja traktowali, powiedziałbym, nieco inaczej niż w Generalnym Gubernatorstwie. Po paru dniach Ukraińcy ogłosili swoją niepodległość. Wychodzą rano, są niebiesko-żółte chragwie i plakaty z tym trójzubem i napisy "lemostiejne Ukraina", niepodległa Ukraina. Proklamowanie. Ale to trwało tylko parę godzin, ponieważ już przed południem niemiecka feldżendarmeria i schutzpolice chodziła i zrywała te flagi, zrywała te napisy. W tym czasie prawdopodobnie internowano we Lwowie Stefana Bandera, przywódcę ruchu nacjonalistów ukraińskich, który, jak wiadomo, przebywał do końca wojny w obozie w Niemczech. Administrację Niemcy powierzyli Polakom, przedwojennym urzędnikom polskim, ponieważ uważali, że Ukraińcy w jakimś sensie nie dorosli do administrowania miastami i sprawowania zarządu nad instytucjami. Sprowadzono również z Generalnego Gubernatorstwa do Lwowa granatową policję polską, natomiast w mniejszych miastach np. w Drohobyczu policja była ukraińska, nosiła takie trójzuby na czapkach. Ale mundury miała granatowej policji, ze wyjątkiem czapek. Ojciec nigdzie nie pracował. Cały okres okupacji żyliśmy sprzedając wszystko, co się dało sprzedać, aby przetrwać. Ojciec miał dość dobrą propozycję: jeden z jego kolegów, z którym w czasie pierwszej wojny był razem w wojsku, Polak, w 20 roku nie wrócił, został w Wiedniu i tam prowadził przedsiębiorstwo. On odnalazł ojca i zaproponował mu współpracę. Ojciec odmówił i nie podjął do końca żadnej pracy w czasie okupacji.

Ja chodziłem nadal do szkoły, początkowo do podstawowej, skończyłem siódmą klasę, potem poszedłem do państwowej szkoły handlowej

dwuletniej. Zostałem wtedy wciągnięty do tajnego nauczania i robie-  
łem na kompletach normalną drugą i trzecią klasę gimnazjalną. W tym  
czasie też nawiązałem kontakt z oficerami z Armii Krajowej, zosta-  
łem zaprzysiężony w styczniu w 43 roku i początkowo pełniłem funkcje  
łącznika, słuchania radiostacji (?), w patrolu ochronnym, zajmowałem  
się kolportażem prasy, organizowałem młodzież, obsługiwałem martwe  
skrzynki, ochraniałem punkty szkolenia, no i tak to trwało do 44 roku.  
Miałem pseudonim Emir. W 44 roku w kwietniu dostałem polecenie zorga-  
nizowania młodzieżowego plutonu pod kryptonimem "Orleń" i zostałem  
mianowany dowódcą plutonu. Bezpośredni kontakt z Inspektoratem AK  
Drohobycz Miasto pluton otrzymywał za pośrednictwem profesora Karola  
Dociska, prof. Moronia i prof. Łerdziejewskiego, jak również oficera  
porucznika wywiadu mgr. Wileńskiego. Nie znam pseudonimu. Pluton  
składał się z trzech drużyn, stan osobowy 22 osoby. Dowódcą plutonu  
byłem ja, ps. "Emir", zaprzysiężony w styczniu 43. Przysiężenie miałem  
do organizacji lokalnej, Inspektorat AK Drohobycz Miasto. Wówczas  
miałem siedemnasty rok. Wówczas to byli moi koledzy również po 17,  
18 lat, a w 44 roku już mieliśmy kilku żołnierzy ochotników, którzy  
skończyli lat szesnaście. W tym czasie było bardzo trudno na tere-  
nach Drohobycza jeśli chodzi o chętnych do walki, tam garnęła się  
raczej młodzież do walki. Teren był szczególnie niebezpieczny, było  
bardzo dużo Ukraińców, bardzo dużo folksdojczów. Pamiętam, że w Sta-  
niskawowie, gdzie był Sztab 11 Karpackiej Dywizji, były chyba trzy  
potężne wyppy - ani jednego oficera nie zostawili żywego. W końcu ko-  
menda 11 Karpackiej Dywizji i otęgu Stanisławów była we Twowie, po-  
nieważ w Stanisławowie nie mogła się utrzymać. Podobna była sytuacja  
w Drohobyczu, bardzo trudna. Ja znam niewiele osób, które były w Dro-  
hobyczu w organizacji.

Dowódcą 1 drużyny był Lesław Czemkiewicz ps. "Tister" zaprzy-  
siężony przez prof. Moronia również w 1943 roku. Przysiężenie: pluton  
Emira, Inspektorat AK Drohobycz Miasto. Podstawowym zadaniem 1 Druż-  
ny było organizowanie punktów kontaktowych dowódców drużyn, szkole-

nie wojskowe i przygotowanie w warunkach konspiracji, a także organizacja i ochrona tzw. punktów tajnego nauczania. Poza tym drużyna zajmowała się gromadzeniem broni i amunicji, którą przekazywano do dyspozycji drugiej drużyny. Ponadto do zadań 1 Drużyny należało wydawanie i kolportaż informacyjnych ulotek z nasłuchu radiowego. Stan osobowy 1 Drużyny wynosił 9 osób. Dowódcą 2 Drużyny był Zenon Szandrowski, już nie żyjący, ps. "Kmicic1", został zaprzysiężony w styczniu 44 roku przez dow. plutonu Emira w obecności dowódcy 1 Drużyny, Liebersa. Do zadań oddziału należało gromadzenie, reperacja i konserwacja i przechowywanie broni, amunicji i materiałów wybuchowych. Oddział ten zorganizował warsztaty rusznikarskie, laboratorium oraz skrytkę na broń. Stan drużyny - 6 osób. Dowódcą trzeciej Drużyny był Leszek Bober (?), ps. "Tuhał Bój", zaprzysiężony w kwietniu 44 roku również przez dow. plutonu Emira w obecności dowódcy 1 Drużyny. Do zadań drużyny należało zbieranie informacji na temat lokalizacji wojsk niemieckich oraz organizacji paramilitarnych. Ponadto drużyna brała udział w akcjach tzw. małego sabotażu polegającego przede wszystkim na wieszaniu w miejscach publicznych antyniemieckich napisów, zrywaniu niemieckich ogłoszeń i rozporządzeń oraz symboli, np. godła czy flag. Stan oddziału - 5 osób. W akcjach małego sabotażu oprócz Trzeciego oddziału brały udział i pozostałe oddziały. Szczególna aktywność w tych akcjach odnotowano w marcu i 1 kwietniu 44 roku, wówczas gdy wojska niemieckie poniosły klęskę pod Sarnami (?). W tym czasie na murach domów i w ogóle w miejscach publicznych w Drohobyczu ochotnicy z plutonu Orłat umieszczali napisy: "Niemcy walczą na wszystkich frontach i przegrywają". Ponadto kilka razy przerwano linie telefoniczne pozbawiając niemieckie instytucje łączności nawet na kilka dni, ponieważ uszkodzenia ze nastąpiły w miejscach trudnych do wykrycia. Drugi okres wzmożonej akcji polegającej na rozpowszechnianiu informacji o sukcesach wojsk polskich na wschodzie, a także na gromadzeniu mat. wybuchowych i broni odnotowano w okresie od po-

łowy maja do wkroczenia wojsk sowieckich do Drohobycza w dniu 6 sierpnia 1944 roku o godz. 5 rano. Po zwycięstwie pod Monte Cassino na murach pojawiły się napisy: "Monte Cassino - Victoria". Zarys działalności plutonu "Orleńca" nie byłby kompletny, gdyby nie wspomnieć o bezspornym oddziaływaniu na młodzież, kształtowaniu jej patriotyzmu. Wysiłek nie został zmarnowany. W czasie śledztwa niezłomnie postawą jaką reprezentowali ochotnicy: Roman Melchert, Krzysztof Werner, Roman Milan, Adam Staruszkiewicz (Stenuszkiewicz?) i Waldemar Ojczarczyk wzbudzała zdumienie sowieckich oficerów śledczych. Ci zupełnie młodzi chłopcy, prawie dzieci, umieli dochować przysięgi i nie splamili honoru młodego Polaka. Nie bali się bicia, tortur, Sybiru i kopalni, kochali Polskę i byli jej nakazom wierni. "Orleńcy" działały w różny sposób, aby dotrzeć do różnych kręgów młodzieży. Właściwie to tylko "Orleńcy" były działającą prężnie organizacją na terenie Drohobycza. Przy kościele parafialnym zorganizowane było koło ministrantów skupiające ponad 60 chłopców. Założycielem koła był śp. ksiądz Leon Telesz (?). Koło to odbywało raz na tydzień zebrania szkoleniowe, w czasie których członkowie organizacji prowadzili prelekcje o charakterze patriotycznym i politycznym. Ponadto były to siatki informacyjne, dzięki którym mogła organizacja uzupełnić swoje informacje. W pierwszych tygodniach po wkroczeniu wojsk sowieckich pluton utracił łączność z Inspektoratem AK. Pomimo zaprzestania faktycznego poprzedniej działalności pluton nie ujawnił się przed władzami radzieckimi i nie rozformował się. Stan zawieszenia działalności i oczekiwania trwał do chwili aresztowania. W dniu 9 października 1944 roku aresztowano "Listera", Łaszka Osmakiewicza (~~Osmakiewicz~~), a w dniu 11 października Feliksa Milana, "Emira". Do końca grudnia 44 roku aresztowano ogółem 14 członków plutonu oraz księdza Kondesera, który był naszym kapelanem. Ponadto w czasie aresztowania ochotnik Roman Botocki zbiegł. W czasie rewizji przeprowadzanej w jego

mieszkanu. Ochotnik Lesław Stasiowski przed aresztowaniem zdołał ukryć się w szpitalu jako pacjent. Obecnie jest lekarzem. Los nie był łaskawy dla tych chłopców. (...) I taka piosenka: "I poszli chłopcy przez góry i lasy na bój, trud, katarę i mekę, i pozostały po nich puste klasy i zakazane w zeszytach piosenki".

Przez cały okres po zakończeniu wojny pełen tragicznych wydarzeń byliśmy zawsze pełni wiary i nadziei, byliśmy wierni Polsce (...).

Oprócz dowodzenia plutonem "Orląt" współpracowałem bardzo blisko z grupą Kedywu pod dowództwem Jacka Przetockiego, podporucznika, ps. Oset, oficera Kedywu okręgu Lwów, który poległ 25 maja 44 roku pod Drohobyczem, na stacji w Rechcicach. Brałem udział w tej akcji, byłem w ochronie. Ppor. Oset to był bardzo brawurowy młody człowiek, który nie spodziewał się, że w budce dyżurnego ruchu są Niemcy i Ukraińcy, wskoczył i został przeszyty automatem i tak poległ. Niemcy i policjanci ukraińscy zaczęli się mocno ostrzelywać, zaraz przyszła pomoc i myśmy się musieli wycofać. Akcja miała za cel zdobycie amunicji i broni z transportu wojskowego, który stał właśnie na stacji w Rechcicach. Brałem również udział właśnie z tym oddziałem Oseta przy napaści na bank w Drohobyczu, byłem w ochronie. I jeszcze jedna była akcja na urząd niemiecki, też brałem udział. Tak więc oprócz działalności w "Orlątach", działałem w grupie Kedywu.

11 października 44 roku zostałem aresztowany. Już wiedziałem, że poprzedniego dnia aresztowano kol. Osmańkiewicza "Listera", byłem bardzo niespokojny, miałem wątpliwości, czy zawiadomić rodziców i uciekać, czy podjąć jakieś działanie. Poszedłem do szkoły (chodziłem wówczas do radzieckiej dziesięciolatki), byłem bardzo zdenerwowany tego dnia, nie mogłem się skoncentrować, podchodzili do mnie koledzy, pytali, co się stało, więc byłem strasznie zdenerwowany. Na przedostatniej lekcji fizyki, piętnaście minut po dzwonku wszedł do klasy zastępca dyrektora, pan Dąbrowski, i wywołał mnie z klasy.



Powiedział, żebym poszedł do dyrektora. Lekcje prowadził prof. Smo-  
liński, który również potem był aresztowany, siedział w więzieniu  
i został wywieziony do Donbasu. Idąc do dyrektora zapytałem, w ja-  
kim celu. Popatrzył na mnie i powiedział "Wejdiesz, to zobaczysz, w  
jakim celu jesteś wzywany". To jest dla mnie ważny bardzo moment, bo  
przecież ten pan, polski profesor, mógł mnie uprzedzić, że przyszli  
po mnie, żeby mnie aresztować. Wszedłem do kancelarii dyrektora, za-  
stałem tam dwóch lejtnantów NKGB i zostałem aresztowany. Gdyby on  
uprzedził  
mnie, mógłbym uciec. Jemu by nic nie groziło, bo mógłby powiedzieć,  
że mnie nie było dzisiaj w szkole albo że wyszedłem. Może by mnie u-  
ratował i może moje życie zupełnie inaczej by się potoczyło. Wiąłem  
do niego żal, że nie pomógł mi w momencie, kiedy mógł i obowiązkiem  
jego było pomóc. Bo byłem uczniem, byłem Polakiem, a on był moim  
przełożonym, profesorem. Przyszedłem do dyrektora, za biurkiem sie-  
dział dyrektor Tchórzalski bardzo zdenerwowany, obgryzał palce. Oni  
kazali mi usiąść i zaczęli mnie pytać, jakie są moje zainteresowania  
czym ja chcę być, co ja w tej chwili robię, czym się zajmuję dodat-  
kowo. Więc powiedziałem, że mnie interesuje historia i geografia, że  
chcę studiować. -"A wojsko nie interesuje ciebie?" -Powiedziałem, że  
nie. -"A jak wojna?" - "Wojna to jest co innego, a moje osobiste zai-  
nteresowania to historia i geografia!" Pytali również dyrektora, jaki  
ze mnie uczeń, czy są ze mną kłopoty. Dostałem wysoką ocenę od dyre-  
ktora jako b. dobry uczeń, zdyscyplinowany. Skwitowali to uśmiechem,  
kazali mi się ubrać, ale ubranie i teczka były na górze, w klasie.  
Więc znowu wysłali tego pana prof. Dąbrowskiego, który mi przyniósł  
teczkę i płaszcz. Ubrałem się i poszliśmy do domu. To było przed po-  
łudniem. W domu zaczęli przeprowadzać gruntowną rewizję. Pierwsze  
polecenie było "oddaj broń". Ja sobie z nich zażartowałem i wyciągną-  
łem skądś taki korkowiec i oddałem. Nie mam broni. W tym czasie prze-  
czywiście przy sobie broni nie miałem. Oddział nasz miał broń, ale  
ona była w zupełnie innym miejscu przechowywana. Więc zdenerwował się

że robię z niego głupca, przecież wiem, o jaką broń chodzi. Mówię, że nie wiem. "To znajdziemy". "To szukajcie, proszę bardzo". Rewizja trwała do godziny czwartej, pół do piątej, kazali mi się ubrać, wziąć jakąś bieliznę, pójść z nimi. No, matka rozpaczła, ojciec rozpaczł, matkę strasznie płakała. Ja pocieszałem matkę, że to jest jakaś pomyłka, że na pewno wrócę, że do niczego się nie pociągam, że nie popełniłem żadnego przestępstwa, za które by mi coś groziło. Nie przeczuwałem, że w tym czasie nastąpiła wielka akcja aresztowania wszystkich żołnierszy AK, a ja jako dowódca plutonu byłem jednym z pierwszych aresztowanych. Do końca grudnia wyaresztowali wszystkich.

Wyprowadzili mnie, był bardzo jeszenny, chmurny dzień, siąpiła deszcz. Ja szedłem ulicami, dwóch oficerów obok mnie - jeden z jednej, drugi z drugiej strony. No i weszliśmy do sądu. Do tego sądu, w którym w 40 roku widzieliśmy te trupy i byłem w więzieniu w tej celi, w której później siedziałem: cela nr 6. Zaprowadzili mnie najpierw na górę i zaczęło się przesłuchanie. Wrażenie było potworne. Byłem strasznie zdenerwowany, zestresowany, byłem sam, zagubiony, nieszczęśliwy okropnie. W okół mnie było kilku oficerów radzieckich w mundurach, obcych mi mundurach, którzy stale na mnie pokrzykiwali, stale zadawali pytania, których większej części nie rozumiałem, bo nie znałem jeszcze wtedy j. rosyjskiego na tyle, żeby móc nim operować, znałem trochę ukraiński, ale oni mówili po rosyjsku, więc była kotłownia. Byłem złamany i zrozpaczony. W pewnym momencie (w pokoju, w którym prowadzono śledztwo stał fortepian) jeden z oficerów w stopniu majora podszedł do fortepianu i zaczął grać "Ta ostatnia nie dzieła". Okazało się, że to był Żyd z Warszawy, który w 1939 roku dostał się na wschód, wstąpił tam do NKWD i był w oddziałach NKGB. Zresztą on mi sam później o tym powiedział któregoś dnia. Że zna doskonale polski, wie, jak my patrzymy na pewne sprawy. Że nas doskonale i potrafi mi udowodnić... Ja w pierwszym okresie w ogóle do ni-

czego się nie przyznawałem. Wtedy jeden z oficerów, pułkownik chyba, powiedział mi tak: "Słuchaj, my wiemy o tym, że należysz do organizacji, mamy wszystkie wiadomości o was. Jeżeli ty się przyznasz i pomożesz nam wyjaśnić prawdę, w jaki sposób wyście walczyli przeciw Niemcom, bo my wiemy, że wyście walczyli z Niemcami (bo ja cały czas upierałem się, że Niemcy byli wrogami i starałem się dziakać tylko przeciwko Niemcom), to wówczas, daję ci słowo honoru oficera radzieckiego, zostaniesz zaraz wieczorem wypuszczony! Ja do końca nie przyznałem się, więc trwało dochodzenie gdzieś do trzeciej nad ranem. W międzyczasie około godz. 3 jeden z oficerów z taką ironią zauważył: "Mo wiesz (do lejtnanta), jaki ty jesteś bez serca. Chłopak jest przecież cały dzień bez jedzenia, przyniósłbyś mu jedzenie, zje, to może zacznie rozmawiać. W tej chwili jest zestreszony, głodny, a ty go tutaj męczysz". Więc ten watał, wyszedł do kasyna oficerskiego i przyniósł mi jedzenie. Był to jakiś kapuśniak i smycel z ziemniaczkami i kapustą. Ja chciałem bardzo pić w tym czasie, poprosiłem, żeby mi dali coś pić. Z przykrością stwierdzili, że nic nie było w stołówce do picia, ani kompotu, ani herbaty, więc tylko to przynieśli. Kapuśniak był dość słony, a resztę nie wiem jaka, bo popróbowałem tylko kilka łyżek kapuśniaka, a resztę odsunąłem, co zostało tak skwitowane: "Polski panok nie chceć ruskogo knazania". Potem już zaczęło się gwałtowne śledztwo, skończył się Wersal, zaczęło się coraz większe naleganie. W momencie, kiedy mi zarzucano, że zdradziłem ojczyznę, a ja powiedziałem, że ojczyznę nie zdradziłem, bo moją ojczyzną jest Polska, po raz pierwszy dostałem w kark. Od tego czasu już zaczęli mnie bić. Trwały te poszturchiwania, bicie, różne krzyki gdzieś do trzeciej, później oni się zmęczeni. Z tym że ja cały czas siedziałem, a ich było 4, 5, i się zmieniali. po dwóch, trzech. Wchodziłi, wychodziłi i zaczynałi od początku. O trzeciej nad ranem jeden powiedział: "Tucc, nie chcesz z nami współpracować, wyjaśnić,

pomóc nam, to pójdiesz do więzienia, namyślisz się - to będziemy rozmawiać." Zaprowadzono mnie na <sup>m</sup>łósk do więzienia. Szedłem korytarzem do pomieszczeń więziennych, przerażający widok, półmrok, niebieskie żaróweczki, wprowadzili mnie do pokoju bardzo brudnego, za biurkiem siedział Rosjanin w czapce, na ławce po ścianę leżała póżsiadac także dziewczyna w krótkiej spódnicy, nogi założone, też w czapce funkcjonariusza. Z takim uśmiechem patrzyli na mnie - przyjmowali mnie. Więc musiałem wszystko wyłożyć z kieszeni, spisali moje dane i kazali mi czekać. Czekanie nie wiem jak długo, do pomieszczenia wszedł enkawudzista - straszny! Wygląd jego był okropny, to był jakiś Mongoł z kwadratową twarzą, czarny, skośne oczy, w czapce uszance - można się go było przestraszyć w biały dzień na ulicy. Ten facet, schrypnięty, łamanym językiem wskazał mi drugie pomieszczenie i wszedłem tam. Pomieszczenie było puste, jedna tylko ławka, żarówka znova niebieska, na ścianie pełno dziur, pełno krwi jakiegś i w tym pokoju każą mi rozbierać się. I tu byłem kompletnie załamany. Myślę sobie - już koniec. Bo przecież wiem, że w tym budynku była celi, w której wykańczali w 41 roku ludzi. Gdzieś w tym miejscu ją lokalizowałem i myśle - dostałem się do tej celi. A ślady krwi, dziury świadczyły o tym, że tam się coś działo. Więc byłem kompletnie przerażony. Rozebrałem się do bielizny, kazali mi zupełnie się rozebrać. Rozebrałem się, było to przeżycie wielkie, bo nigdy przed nikim się nie rozbierałem, był to pewien szok. Rozebrałem się, stoję naprzeciw niego a on wyciąga nóż z kieszeni, tak tym nożem się bawi i mówi do mnie ? "Powiernis" (odwróć się). Więc ja wtedy odwróciłem się powolutku do ściany, zamknąłem oczy i zacząłem się modlić. Myślę sobie: koniec, już tutaj mnie załatwi. Czekam - nic. Coś tam bierze do ręki, rzuca, słyszę. Myślę sobie: na pewno zaraz... na pewno się szykuje... na pewno mnie tym nożem gdzieś uderzy albo będzie strzelał. Trwało to chwilę, potem mówi "Odwróć się". Zrobiło mi się

lżej na duszy, zobaczyłem, że on bierze moje spodnie, marynarkę i obcina guziki tym nożem. Ale przecież nie wiedziałem, że będzie obcinał guziki, byłem przerażony. Widziałem celę ze śladami krwi, widziałem nóż, półciemny pokój z niebieskim oświetleniem - było okropnie. Ja po całej ciężko przeżytej nocy, zabrany z domu - to jest trudne do przekazania, co ja przeżyłem w tym czasie. Miałem wtedy osiemnasty rok. Po tej całej ceremonii podprowadzili mnie pod celę nr 6, w której byłem w 41 roku. Otworzyłem drzwi, zgrzyt zamka, wszedłem. Widok znowu okropny. Niebieskie światło żarówki, na podłodze, na pietrowych łózkach leżeli więźniowie w bieliźnie, twarze blade, byłem przerażony. Wszedłem do trupiarni, czy to są jeszcze żywi ludzie? Uderzył mnie przede wszystkim straszny zapach potu ludzkiego, cała była przepchniona, powietrza było mało. Stałem w drzwiach, nie wiedziałem, co mam robić. W pewnym momencie jakiś Ukraińiec, więzień, przebudził się, zawołał pod ścianę, powiedział, że bym przyszedł, że bym się nie przejmował, że nie mogę stać pod drzwiami. Spytał, skąd jestem. Okazało się, że znał mego ojca, moją rodzinę, to był jakiś niejaki doręczarz, dość młody człowiek. Zrobił mi miejsce koło siebie, powiedział: "Siedź, prześpij się, bo do pobudki jest jeszcze godzina czy dwie, a później znajdziesz sobie gdzieś miejsce". Nie rozbierając się usiadłem pod ścianą koło niego i tak na siedząco usnąłem. Nie wiem, jak długo to trwało, nagle słyszę szum, wszyscy wstają, szukają się, ubierają, ruch w celi. Ktoś tam mówi: "Jest nowy, przyszedł w nocy". Więc wychodzę na środek tej celi, rozglądam się, pytam, czy są Polacy i nagle słyszę, ktoś mnie woła z łózka: "Banie Milan, pan pozwoli". Był to Łyd, inżynier Bakenrodt, przed wojną naczelny dyrektor kompanii francuskich naftowych w Polsce, który ma bardzo ciekawą historię. Człowiek, który później, po tym wszystkim wyjechał do Paryża, przyczynił się do ujęcia Teichmanna. A że znał ojca, znał mnie, więc się tak trochę mną opiekował. Poprosił mnie do siebie

na półko, kazał się rozebrać, wytłumaczył, jaki jest regulamin, jak się powinienem zachować, wskazał mi miejsce, gdzie mam spać. Okazało się, że był też starym celi. Od tego czasu sprawował nade mną taką pieczę, ale nie tylko on jeden. Początkowo w tej celi Polaków było mało, kilka osób, większość była Ukraińców, ten jeden Żyd i sporo Volksdojczów. Dopiero gdzieś w grudniu zaczął się masowy napływ Polaków, wówczas było pół na pół. Wtenczas spotkałem się z moim dowódcą, porucznikiem Wileńskim, szefem wywiadu, który został bestialsko zamordowany w Rosji, w więzieniu. Człowiek o wysokiej kulturze, wspaniałego serca, byłam tylko żołnierzem, a traktował mnie jak własnego syna. W ciągu paru miesięcy więzienia zawdzięczam mu bardzo dużo. Pierwszy Bakenrodt tak mnie podtrzymał na duchu, a później on. No i inni panowie oficerowie również otaczali mnie opieką, nie pozwalali, żebym się załamiał.

Któregoś dnia w grudniu, przed świętami, zostałem skierowany do celi taki pan Bugajski. Kapitan, z dowództwa z inspektoratu z Borysławia. Ten pan był bardzo pobożny i w celi organizował wspólne odmówienie różańca. Zawsze po obiedzie wszyscy Polacy, paręset, gromadziłyśmy się wokół niego i odmawialiśmy cały różaniec. Strobiło to takie wrażenie, że znaczna część Ukraińców przyłączała się do nas również się modląc, a ci, którzy nie odmawiali, byli pełni szacunku i zachowywali się tak, żeby nam nie przeszkadzać.

Jak wyglądały śledztwa. Pewien mechanizm stosowany przez K WAGB był szczególny, zierający do zakusania człowieka, do wydobywania zeznań. Niekoniecznie przez bicie i maltretowanie. Można było to osiągnąć w różny sposób. NF mieli taką metodę: Godzinę po pobudce spać przychodził nadzorca, stawał w drzwiach i mówił: "Na litere M". Więźniowie byli zobowiązani odpowiadać - "Mikołajczyk, Milan, Małowski itd. Więc jak powiedziałem Milan, a on miał nazwisko na kartce zapisane, to "ładno, dawaj", ten wychodził. Wiec wychodziłem i snów od

dziewiątej do czwartej śledztwo. Po kilkunastu takich dniach człowiek był psychicznie wykończony. W dzień spać nie mógł, bo za to karali, a w nocy był na śledztwie. A jeśli jeszcze przy tym oberwał... Było to systematyczne, stopniowe gnębienie człowieka, zakamywanie i zmuszanie do jakichś tam zeznań. Jak, to wyglądało w moim przypadku. Pewnego dnia pokazano mi spis wszystkich członków mojego plutonu, miałem konfrontację z kolegami i wówczas przyznałem się, że byłem żołnierzem AK. I o dziwo, to wcale nie było wystarczające, wcale im o to nie chodziło, oni doskonale wiedzieli, że byliśmy członkami AK. Im chodziło o potwierdzenie innej sprawy. O potwierdzenia, że my, żołnierze AK, walczyliśmy o Polskę od morza do morza. Chcemy tereny Ukrainy czy ZW. Radzieckiego przyłączyć do Polski. Był to swoisty sposób terroru wobec Polaków zamieszkujących te tereny. Część, znaczna, przesiedlowali. Niektórzy uciekli, reszta została wysiedlona, wyjechała jako repatrianci. Moim marzeniem (prośbę jak mogłem, przekazywałem) było, żeby moi rodzice wyjechali do Polski. Wiedziałem, co ich może czekać. Sądzę, że rodzice by nie przeżyli tego, co mnie spotkało. Jeśli ja przeżyłem, to dlatego, że byłem młody - to cierpienia i udźwignięcie, byłem silny, odporny organizm. Wychowany w prawie ciepłarnianych warunkach, fizycznie nie tak silny, przeżyłem całą katorżę, obozy, to wszystko. Uważam, że jest to jedyne cud XX wieku. Zawdzięczam to również modlitwie. Ja się przez ten cały okres bardzo modliłem, zarówno w więzieniu jak na Kółymie. Bywały dni, bardzo dużo tych dni bywało, że się modliłem od rana do wieczora, odmawiałem wszystkie modlitwy, jakie znałem, powtarzałem je w kółko, wielokrotnie. Jeżeli nie jadłem posiłku - to pacując modliłem się. I te modlitwy moje, no jej matki (różaniec moja matka stała odmawiała) była chyba przyczyną że spośród wielu tysięcy ludzi, którzy zostali tam na wiecznej warcie - wróciłem do Polski. Chyba Bóg chciał, jak mówił mi proboszcz parafii św. Antoniego, żebym wrócił i dał świadectwo prawdzie. Za te

na górze było to zakodowane. Śledztwo przebiegało w różny sposób. Czasem z perfidną uprzejmością, czasem w sposób brutalny. W zależności od śledczego, tego, kto prowadził. Najpierw wydział śledczy, później NKWD, później przekazali do NKGB, później już było zakończenie, więc zupełnie inny śledczy oficer przejął. Kapitan, który kończył z nami śledztwo był stosunkowo kulturalny i wyczuwałem, że on mi współczuł. Nie naczył mnie już żadnymi pytaniami, raczej wskazywał, co mam mówić, a czego nie. Ale to już była musztarda po obiedzie. Końcowe dni przygotowanie do sądu.

W grudniu aresztowali mojego brata, również w tragiczny sposób dla moich rodziców. Aresztowali go 24 grudnia. tuż przed siadaniem do kolacji wigilijnej. Przyszli, zabraли najmłodszego syna. Rozpacz matki była okropna, miała dwóch synów i nagle została na świecie bez jednego. W tym dniu wzięli też i ojca, bo ojciec się sprzeciwił, potrzymali go 24 godziny i wypuścili. Brat siedział w celi obok w piątce, czasem myśmy przez sedes rozmawiali takim sposobem więziennym i brata nie przygotowywali do sądu, bo z 14 aresztowanych z naszego plutonu przed sądem postawili 8. Szczęściu wywieźli bez sądu do Donbasu. I taki transport był w marcu. 17 czy któregoś zebrał etap i z mojej celi bardzo dużo zabrał osób. Między innymi tego por. Wileńskiego, z którym się bardzo zżyłem i strasznie rozpacziałem, jak go zabrał, bo straciłem jakby kogoś najbliższego. Jeszcze jedno: któregoś dnia wraca (w styczniu bodajże) wraca Bieliński (Wiliński. Wileński?) ze śledztwa i mówi, że widział mojego brata na śledztwie. Mówi: "wiesz, w jakiej sytuacji? Na śledztwo wzięli brata, brat przeszedł, a od śledczego wyprowadzali prof. <sup>W</sup>Smolińskiego, tego, na <sup>W</sup>którego godzinie fizyki zostałem aresztowany. I brat nie zwracając uwagi na to, że jest więźniem, szarpał butami, jak <sup>W</sup>to było u nas przyjęte i powiedział "dzień dobry panie profesorze". I za to dostał straszne lanie. Ze z drugim więźniem... Eza mi się w oku zakreśliło, jakich my mamy dzielnych chłopców". W świadomości brata to był jesz-



cze profesor. Braż został wywieziony do Donbasu razem z Bielińskim, gdzieś 17 lutego. Zostałem sam w celi, miałem innych przyjaciół, jeden był taki chłopak, mój rówieśnik, również z organizacji młodzieżowej z Rudek, miejsca urodzenia Fredry. Bodojżę Fiałkowski, czy Fiałowski Zbyszek, nie pamiętam. Zostawiłem go w celi, poszedłem na sąd i co się z nim stało, nie wiem. Był też tam pan leśniczy Wiśniewski. Był leśniczy Chmura, to wszyscy oficerowie AK, którzy ze mną siedzieli. Oni zostali na sąd. A w tejże celi siedział też taki artysta - śpiewak z Charkowa, który za okupacji niemieckiej śpiewał w teatrze i za to został aresztowany i skazany. Z nim była specjalna historia, bo miał kłopot z włosami, chcieli mu ściąć, on nie pozwalał. W ogóle przezabawny człowiek. Rosjanin, do mnie bardzo dobrze ustosunkowany, często siadaliśmy w kacie i on mi śpiewał różne śmie z oper, półgłosem, szeptem prawie i opowiadał mi o swojej karierze. To był człowiek starszy, nie mógł liczyć na żadną pomoc, żadną zmianę losu, jego sprawa była przesądzona, jako obywatel radziecki był skazany za zdradę ojczyzny.

Siedziałem do 20 marca. 20 marca przed południem wszedł nadzorca do celi, powiedział: "Na literę M", więc powiedziałem: "Milan", powiedział: "Wychodź razem z rzeczami". Jak "wychodź razem z rzeczami", to poczuję, że więcej już do tej celi nie powrócę. I wychodziłem się albo na sąd, albo na wolność, albo na jakiś etap. Więc zebrałem się, pożegnałem się znajomymi, którzy byli w celi i wyszedłem na korytarz. Na korytarzu spotkałem już swoich kolegów, ośmiu, byli wywołani również. Domyśliliśmy się, że idziemy na sąd. Ciśnawsza scenka na tym korytarzu. Zgodnie z ich rytuałem więzień musiał trzymać ręce do tyłu i odwrócony być twarzą do ściany. Nie wolno było odwracać głowy i nie wolno było rozmawiać. Więc staliśmy tak <sup>co</sup> pół metra od siebie i mieliśmy patrzeć w ścianę. No oczywiście korzystaliśmy z okazji i wymienialiśmy zdanie. Endochodził z tyłu enkawudzysta i w

tył x głowy uderzał, więc uderzaliśmy czołem o ściane. To nas nie  
zrażało, kontynuowaliśmy cały czas wymianę poglądów, wrażeń itd. W  
końcu kazali się odwrócić, szeregiem wyprowadzili do sądu. Weszliśmy  
do sali, gdzie były dwa rzędy krzeseł, przed tymi krzesłami stół. Za  
stołem siedziało trzech oficerów, nie pamiętam w jakiej randze, kapi-  
tanów czy lejtnantów. Siedział podobno prokurator, żołnierze z auto-  
matami stali przy drzwiach, kazali nam usiąść. Zaczęła się rozprawa.  
Przeczytali nam cały akt oskarżenia, przeczytali, jacy my jesteśmy  
straszni zbrodniarze, co myśmy popełnili, ale już wtenczas nie trakt-  
owano nas jako zdrajców ojczyzny. Zresztą miałem artykuł 54 2 tzn  
współpraca z międzynarodowymi organizacjami, 54 11 tzn. działalność  
w organizacji. Więc już nie byłem traktowany jako zdrajca ojczyzny,  
tylko ktoś związany z organizacją zagraniczną. Po przeczytaniu tego  
oskarżenia mówił do nas przewodniczący tego trybunału - to był Woje-  
ny Trybunał Wojsk NKGB (kontrwywiad). Prawdopodobnie wśród człon-  
ków trybunału, który nas sądził, przynajmniej dwóch było Łydów, bo  
na to wskazywał ich wygląd i typowy dla Łydów sposób wyrażania się.  
Prokurator przeczytał swój wniosek, że prosi o najwyższy wyzmiar kary  
że jesteśmy zbrodniarzami itd. Potem poproszono nas o ostatnie słowo.  
Ja miałem pierwszeństwo, więc prosiłem, żeby mnie skierować do armii  
polskiej na front. Od razu usłyszałem, że "tacy jak ty w wojsku pol-  
skim są niepotrzebni". Moi koledzy powtórzyli absolutnie to samo, i  
sąd wyszedł na naradę, trwało to parę minut, po naradzie kazano nam  
wstać i odczytali wyrok. Pierwszemu mnie. Usłyszałem, że zostałem  
skazany na 15 lat katorżnych robót. W uzasadnieniu wyroku dowiedzie-  
łem się, że za przestępstwo, które popełniłem przeciw władzy radzicc-  
kiej normalnie groziłaby mi kara śmierci, ale uwzględnili to, że nie  
miałem 18 lat, skazują na 15 lat. 15 lat katorżnych robót dostał je-  
szcze mój kolega Osmakiewicz, pozostałych sześciu kolegów dostało po  
10 i 8 lat.

Momentalnie podeszli do nas żołnierze, zakuli nas w kajdany i pod automatami wyprowadzili nas znowu do więzienia. Było to 20 marca 44r. 2

- Czy był tam jakiś obrońca?

- No właśnie, chciałem podkreślić, że to była zbrodnia popełniona ~~na~~ nas. Po pierwsze nie znaliśmy j. rosyjskiego na tyle, żeby móc się bronić, żeby można było zrozumieć. Nie mieliśmy tłumacza. Był prokurator, ale nie było obrońcy. Nie mieliśmy prawa do obrony. Prawdopodobnie ten cały sąd to była jedna wielka farsa, sytuacja ukartowana z góry: trzeba nas było wyeliminować ze społeczeństwa polskiego, trzeba nas było usunąć. W czasie, gdy myśmy siedzieli, do naszego mieszkania dali na kwatery jako sublokatorów dwóch oficerów NKWD. Ci dwaj wprawdzie bezpośrednio mojego śledztwa nie prowadzili, ale byli w tym samym (gnachu?). Kiedyś przyszli z tej swojej pracy i wtedy im mówi, że zesądziły syna na 15 lat, przecież on taki młody, to powiedzieli: "Słuchaj, ty się tak nie dziw. On jest młody i on jest bardzo groźny, bo ma posłuch wśród kolegów, przed nim jest jeszcze życie, może nam zrobić wiele kłopotów. Gdyby to był stary człowiek, to wiedzielibyśmy, że nie przeżyje. A tak to my musimy być ostrożni". No i rzeczywiście urządzili mnie: 15 lat katorgi i najdalej zakatek w ZSSR - Kołyma. Po zesądzeniu przyszliśmy chyba do celi nr 7, tam byli więźniowie już zesądzeni, wiedzący innymi byli koleżdy z jakiejś drugiej grupy skowskiej, Lenterowiczowie, była ich trójka, dostali po osiem lat, ja byłem najstarszy wyrokiem. Przez kilka dni razem w celi, mogliśmy się nagatać, podzielić się wrażeniami - byliśmy braci. Byliśmy skasani na dole i niedole. Parę dni później rano, tuż przed świętami wielkanocy, wywołano nas z celi z rzeczami i z więzienia NKWD przy sądzie, przez miasto przed południem prowadzono nas z grupą Ukraińców, pod karabinami do więzienia za miastem, Brygidki.

Jłynne drohobyckie Brygidki. Tu przed wojną siedział Drobner, Gomulka

wielu działaczy komunistycznych. Pamiętam jak nas prowadzono przez miasto, ludzie przystawali. W pewnym momencie, niedaleko domu siedział nasz kolega szkolny, Zbyszek Szymborski (nie był w organizacji, nie był związany z nami w AK, był bardzo dobrym kolegą). Zbladł, potoczył się, skręcił i schował się do bramy. Nie wiem, czy ze strachu, z przerażenia?

Przeszliśmy przez miasto, była to sensacja. Na czele tej kolumny szło ośmiu chłopców, dalej kilka dziewcząt - Ukrainek i kilku banderowców. Szło się przeszło godzinę, przyszliśmy na Brygidki, to było więzienie typowe, budowane przed wojną, dużo bram, krat, drzwi żelazne. Zanim dostaliśmy się do celi, przeszliśmy przez szereg tych krat, wszędzie rewizje, przekazywanie, trwała ta ceremonia kilka godzin. W końcu znaleźliśmy się w celi. W odróżnieniu od celi w więzieniu NKWD, gdzie w celi było 60 osób i były dwupiętrowe naty, celi tu była pięciokrotnie mniejsza, było jakieś 30 osób, nie było żadnych łóżek, spaliśmy pokotem i jeśli w nocy trzeba się było odwrócić to na komendę, wszyscy razem na ziemi, bo tak było ciasno. Tam nas już rozdzielili, zostałem tylko z Osmakiewiczem, innych kolegów zabrano do innych cel. Z dwoma z nich spotkałem się po jakichś ośmiu, dziesięciu latach na Kołymie (Leszka Osmakiewicz w 56 roku, Krzyśka Wernera też w 56, 7 roku). Obok była celi, gdzie siedzieli ludzie skazani na karę śmierci i słyszeliśmy, jak co noc wywoływali po kilku i gdzieś tam obok rozstrzeliwali, bo słyszeliśmy strzały automatu wykonywali wyroki. To działało strasznie przynębiająco. Warunki sanitarne były o wiele gorsze, bo jeśli w poprzednim więzieniu był seńdes, to tu tzw. parasza, wielki baniak, gdzie się przez cały dzień załatwiała potrzeby fizjologiczne, przykryty, oczywiście śmierdziało dwa razy dziennie dwóch więźniów wynosiło ten baniak do toalety, wyłewało i tak było przez cały czas. Tam spędziliśmy święta Wielkanocy. Zaraz po świętach był wielki transport do Lwowa. Znowu wyprowa-

wadzono nas przed więzienie. Ja dostawałem w tym czasie obfite paczki z domu ("pieredacze?"), miałem jakiś tam zapas żywności, jakąś odzież, matka wiedziała, że jadę gdzieś na Sybir, więc ciepłe skarpety, jakąś bielizna - było tego w sumie dwa woreczki, w jednym odzież w drugim żywność. Nie byłem w stanie tego nieść, więc koledzy więźniowie, zupełnie przypadkowi (jeden Ukrainiec Toczapski /?/ a drugi Węgier Bela) pomagali mi nieść te rzeczy, za to dawałem im kawałek chleba, czy papierosy, które dostawałem. Wyprowadzono nas, posadzono przed więzieniem i liczono. Charakterystyczną rzeczą jest, że w więzieniach radzieckich, wszystkich, ustawiano więźniów piątkami. Jeżeli mi ktoś powie, że czwórkami, to znaczy że nie był u nich w więzieniu. A dlaczego piątkami? Prosta sprawa - piątka jest łatwiejsza do liczenia. Pierwsza piątorka, druga piątorka, 5 i 5 to jest 10. 3 razy 5 to 15. Bardziej skomplikowane jest liczenie przez 4. Oni byli mało gramotni, i tak mieli trudności z liczeniem, czwórkami chyba tych więźniów w ogóle by nie policzyli. Dla ułatwienia ustawiali piątkami. A więźniowie, gdy ustawiali ich w kolumnach, musieli *siedzieć*. Miałoby to znów pewien sens, bo więźniów stojący mógł szybciej skoczyć w bok i uciec. Kiedy więźniów siedział lub klęczał, to zanim wstał, już konwojent mógł się zorientować. Stojący mógł skoczyć w krzaki, zmieszać się z tłumem. Widziałem za bramą, gdzieś tam na górze, stała matka, stali nasi rodzice, masa ludzi się zbiegła, bo transport. Znowu nas prowadzili bocznymi ulicami do dworca głównego Dniepropetrowsk-Miasto. Tam stały wagony, tzw. stołypinski, to są takie wagony jakby osobowe z przedziałami, tylko przedział jest podzielony na pół, drzwiarki z krzyżem, okna zakrępowane. Wsiada się na górną półkę i na dolną półkę. Pakowało się tam po 8-10 ludzi, czy nawet więcej, ile się zmieściło. Warunki były potworne. Umieścili nas w pociągu. Jeszcze kiedy klęczałem przed więzieniem na Brygidkach, podszedł do mnie lejtnant -anka wudzista i patrząc gdzieś w powietrze mówi: "Ty nie nazywasz tak i tak tak". Potwierdziłem. "Rozmawiałem z twoim ojcem i mogę przekazać wiad-

domości, powiedz, co ci trzeba, jedziesz na Sybir, to ja rodzicom powiem i oni ci przekażą." Powiedziałem, czego ew. chciałby<sup>m</sup> on odezwać. Widziałem, jak nas prowadzili, że rodzice szli obok, nasze matki coś tam mówiły, nie zawsze się słyszało, w końcu nas zaprowadzili tam i zakwaterowali w tych stołypińskich wagonach. Jak się ściemniało znów podchodzi ten sam lejtnant do celi, gdzie siedziałem i mówi "wychodź". Otwiera, ja wyszedłem, wyprowadził mnie z wagonu. Trzymał mnie za rękę, bo było ciemno, podprowadził mnie do rodziców i mogłem się pożegnać z nimi. Ojciec żegnając się, włożył mi do ręki list i 500 rubli. Pożegnałem się więc i wtenczas miałem możliwość osobiście prosić rodziców, żeby, na miły Bóg, wyjeżdżali do Polski. żeby nie zostawali, że niech się absolutnie nie martwią, niech jadą do Polski, bo z Polski będą mogli nam lepiej i szybciej pomóc. Rodzice posłuchali, repatriowali się zaraz po naszym wyjeździe. Po powrocie do Polski z Kołomyi dowiedziałem się, ojciec mi opowiadał, że to był jeden z tych lejtnantów, który mieszkał u rodziców i za kilka litrów wódki zgodził się dać tę satysfakcję rodzicom, żeby mogli się ze mną pożegnać. I przekazać dodatkową odzież. Byłem zaskoczony, skąd ojciec ma kontakty z tymi enkawudziastami, a matka mówi, że to prosta sprawa, że cały czas ich wódką przekupywała: każda "podocza", paczka, była obrywane jakimś półlitrem. Czasami przyjmowali i doreczali. Mam zachowany nawet jeden gryps z więzienia, który przysłałem do domu, jeden jedyny egzemplarz matka przechowała i została się. Pokażę przy okazji.

Na drugi dzień późno w nocy pociąg ruszył i wywieźli nas do Lwowa. Jechało się trzy godziny, wyładowali nas z pociągu i nocą prowadzili przez Lwów. Miasto było zaciemnione, koła kościoła św. Anny jechał samochód ciężarowy i nie widząc kolumny więźniów, wjechał w tę kolumnę, uderzył żołnierza i jakiegoś więźnia. Oczywiście zahamował, ale w tym momencie powstał popłoch, zaczęli się rozbiegać. Straszna panika, Rosjanie zaczęli strzelać i krzyczeć "Żу́йтесь!". I ja na środku przed kościołem św. Anny na placu leżałem jakieś dwie godziny na bru-

ku, a oni cały czas strzelali nad nami, żeby się nikt nie podnosił. Parę osób, Ukraińców, uciekło. Później ich znaleźli i przywieźli. Ale trzech się nie doliczyli, zanim nas znowu zebrali, zanim doliczyli się, zanim nas doprowadzili na Poltawę - było prawie zero. Tam nas do takiej olbrzymiej sali zapędzili. Było tam już więcej Polaków, mogliśmy porozmawiać. W dalszym ciągu byłem tylko z Leszkiem, pozostali zostali w Drohobyczu. Tam spotkałem kolegę z oddziału Kedywu, Romankiewicza Zbyszka, który po śmierci por. Oseta objął dowództwo ~~oddziału~~ oddziału. Siedzieliśmy w tej celi. W tym samym dniu wpadł jakiś dyspozycyjny więzień i mówi: "Wszyscy wychodźcie na spacer, rzeczy zostawcie tutaj, będzie ochrona, a wy wychodźcie". No i popełniliśmy kapitalny błąd. Wyszliśmy na spacer, a jak wróciliśmy, to już nie było nic, rzeczy, zostało tylko to, co było na nas. Tak nas kompletnie wszystkich ograbili. Zostało mi tylko to, co miałem na sobie, te 500 rubli i list - resztę zabrali. Dzięki temu, że było w tej celi kilku akowców Lwowiaków (trzymaliśmy się razem), a oni dostawali te pierasyżki, paczki z domu ze Lwowa - podkarmiali nas sucharsami i tak te parę dni przeżyliśmy. Po dwóch czy trzech dniach mój kolega Leszek zachorował (rozwolnienie, przeziębienie) i zabrali go do szpitala. Zostałem się sam z zupełnie obcymi ludźmi. Co prawda byli to akowcy, ale to byli chłopcy ze Lwowa, jeden Zbyszek Romankiewicz był - starszy ode mnie. Poza tym było dużo Ukraińców, folksojuszów i Rosjan. Żołnierzy rosyjskich, którzy się dopuścili przestępstwa kryminalnego i zostali skazani. I oni pełnili prawie wszystkie funkcje dyspozycyjne w obozach, punktach przesiedleńczych, punktach zbiórki. Pełnili funkcje fryzjerów, krawców, kucharzy, itd. Wyřęczali nadzorców, starszych cel i t.d. To było bardzo sprytnie przemyślane. Ci kryminalni opanowywali sytuację i terroryzowali pozostałych więźniów, narzucając swoją wolę, grabiąc, bijąc - i to było dodatkowo uciążliwe dla więźniów politycznych. Nie mówiąc już o gwałtach i homosaksualizmie w

w obozach, które były plagą tych obozów. Człowiek był pozbawiony jakiegokolwiek godności ludzkiej. Te stałe rewizje, rozbierania się, powiewianie - i do tego dochodził terror kryminalnych Rosjan.

We Lwowie w obozie na Pełtawnej byłem ok. tygodnia, któregoś niedzieli rano wywożali nas z tych baraków, postawili na drodze, uformowali jakieś kolumny po pięciu w rzędzie i po załatwieniu wszystkich formalności z wyczytywaniem i sprawdzaniem, poprowadzili nas (była siódma-ósma rano) na dworzec główny przez Lwów.

Jeśli chodzi o Pełtawę, to był to obóz o zupełnie innym charakterze niż więzienie typowe z kratami itd. To był obóz - wiele baraków drewnianych przeważnie lub murowanych, ale zupełnie innej konstrukcji niż w typowych więzieniach. Zamknięte były te cele, olbrzymie sale. W takiej sali było po 100, 120 osób. Spało się na podłogach, nie było żadnych materacy, jak już mówiłem, ci kryminaliści nas okradli ze wszystkiego. Nie było żadnych możliwości protestowania, składania skarg. Były przypadki, kiedy w nocy przychodzili kryminaliści, bili - zupełnie bezkarnie. Osoby, które usiłowały zachować swoją godność były bite do utraty przytomności. Terror kryminalistów i straszna anarchia panowała. Jedzenie było straszne. Dawano nam rano chyba 20 dkg chleba i jakiegoś czarnego płynu - miało to być kawa czy herbata, nie wiadomo co (bez cukru). Na obiad dostawaliśmy jakąś zupełną jakiegoś 20 g chleba, wieczorem kawałek jakiegoś śledzia, ew. zupy ze śledzia i coś w rodzaju herbaty i 15 dkg chleba czarnego jak glina, normalnie chyba niejadalnego, ale tam byliśmy głodni i je daliśmy. Polacy ze Lwowa jeszcze otrzymywali paczki i dzięki temu (dzielili się z nami) coś tam jeszcze mogli otrzymać, ale Polaków było tam sporo a Lwowiaków nie tak wielu, żeby mogli wykarmić (nas). W celi, gdzie się znajdowałem, na sto osób Polaków było może 15-20, w tym jeden tylko dostawał paczki.

Więc jak nas wzięli na ten etap, nie wszystkich wywożali. Ja byłem w nielicznej grupie katorżników, Polaków. Byli w grupie Ukraińcy



Niemcy, folksdojczy, był jeden węgier, jeden Czech. Czech to był osobisty lotnik, Baki, tego Mirara czeskiego, którego aresztowali i oskarżyli, że pracował na rzecz kapitalistów. Była to niedziela, wyprowadzili nas z tego obozu, dzień był bardzo pochmurny, mglisty, w nocy chyba padał deszcz, bo było mokro. Pamiętam taki moment: przeprowadzali nas ulicą obok jakiegoś kościoła, ja szedłem w piątce z brzegu. Z kościoła wychodzili ludzie ze mszy i wyszła matka z chłopcem nieco młodszym ode mnie. Gdy mnie zobaczyła, wzięła tego chłopca za głowę, przycisnęła do piersi, zapłakała i odwróciła się. Myśmy szli dalej, to było jak w piosence "dzień deszczowy i ponury polskie dzieci idą z góry, wasserują polskie dzieci, idą tułać się po świecie". Zaprowadzili nas na stację, załadowali do wagonów, już nie stołypiańskich, ale zwykłych wagonów towarowych, bydłowych, krytych. W moim wagonie było 107 więźniów. Z jednej i drugiej strony były nary, reszta na podłodze. Okna były zakratowane, drutem kolczastym oplecione, wewnątrz znajdowała się drewniana wąska rura, która służyła jako urządzenie sanitarne i to było całe wyposażenie tego wagonu. I w tym wagonie jechałem cały miesiąc. Bez warunków sanitarnych, spacerów, możliwości załatwienia jakichś najbardziej ludzkich spraw - ta podróż to była jedna wielka stęszna historia. Byłem tylko szczęśliwy dlatego, że przypominałem sobie, jak w 40 roku wywożono matki z małymi dziećmi, starsze osoby - a ja byłem sam, byłem władny, jeżeli cierpiąłem, to ja jeden, wiedziałem, że rodzina nie jest represjonowana.

Jechaliśmy przez tzw. stepy Ukrainy. To był koniec kwietnia, 25 kwietnia byłem w Kijowie, tak że ze Lwowa wyruszyliśmy gdzieś 23, 24 kwietnia. Widziałem przez okno zniszczony Kijów, zburzony Kreszchatik, dworzec kolejowy. Przejechaliśmy przez Kijów i jechaliśmy dalej tym stepem. Do dziś mi stoi przed oczyma taka scena: jest noc księżycowa, wokół step, Ukraińcy zebrani grupkami śpiewają swoje piosenki.

o partyzancie Zaleźniaku, nucił te swoje ukraińskie piosenki takie bardzo liryczne i sentymentalne. A ja w wagonie, gdzie było nas, Polaków, trzech. Ja, byłem taki złodziejaszak lwowski i byłem jeden syn profesora uniwersytetu czy politechniki lwowskiej, nie pamiętam nazwiska. To byłem bardzo nieszczęśliwy chłopak, typowy inteligent, bardzo źle znosił te warunki. Od czasu do czasu podchodziłem do niego, rozmawialiśmy, dzieliliśmy się wspomnieniami czy marzeniami - i to było szczęście, że mogłem z kimś porozmawiać po polsku. Natomiast temu złodziejaszakowi, wiedząc o tym, że to jest Polak, zwierzyłem się, że mam zaszyte w kurtce 500 rubli. Któregoś dnia po południu położyłem się spać, miałem niespokojny sen. Wstałem, zacząłem szukać w kurtce tego miejsca z pieniędzmi, zobaczyłem dziurę. Pieniądzy nie było. Powiedziałem mu to, zrobił zdziwioną minę, nie wiedziałem, co robić. Po pewnym czasie podszedł do mnie taki Ukraińiec, nazywał się Iwan Andryczuk, był naczelnym redaktorem gazety (Wiadomości Lwowskie czy coś takiego). Ten pan z wykształcenia był prawnikiem, skończył Uniwersytet Lwowski przed wojną, człowiek o dużej kulturze, cieszył się dużym autorytetem zarówno u Ukraińców jak Rosjan. Podszedł do mnie i powiedział po polsku: "Proszę pana, niech pan nie wierzy temu swojemu rodakowi, tak w życiu czasem jest, że rodak potrafi w trudnych chwilach zawieść. Te pieniądze, jak pan spał, ten pan wyciągnął i oddał tym Rosjanom - przestępcom kryminalnym, którzy je przekazali konwojantom i ci im za to dostarczyli jakiś tytoń, chleb". No, z tego ja nie nie miałem, ten Mika też dostał tylko dwie miski zupy, ale ja byłem strasznie zawiedziony i jakoś odsunąłem się od niego. Nie mogłem z nim więcej rozmawiać.

Dojechaliśmy do Krasnojarska, to był maj, bardzo ładna pogoda. Zatrzymali pociąg gdzieś na bocznicę i ku naszej wielkiej radości i zdziwieniu ogłosili, że idziemy do Łańci myć się. W tym wagonie karmili nas tak: z rana ~~był kawałek chleba i coś~~ był kawałek chleba i coś

w rodzaju herbaty, a często tzw. kipiłek. W obiad zupa ze śledzia i chleb-glina, wieczorem znów chleb i jakaś woda. To było całe nasze wyżywienie. W związku z tym, że często dawali nam po całym śledziu skonym, wszyscy te śledzie jedli i oczywiście mieli straszne pragnienie. Więc głód i pragnienie. Więc jak jechaliśmy przez te stopy Ukrainy, to wpatrzeni byliśmy w każdy strumyk, w każdą wodę, tak pragneliśmy picia. Codziennie rano i wieczorem zatrzymywano nas i była tam prowierka, sprawdzenie. Konwojenci z długimi, drewnianymi młotkami na zewnątrz opukiwali cały wagon (czy jakaś deska przypadkowo nie jest naderwana lub uszkodzona), później wchodziłi do wagonu, kazali wszystkim przejść na jedną stronę - potem po jednym kazali przechodzić na drugą stronę i liczyli. Jeżeli się zgadzało, wycykali drowi i wychodzili. Często-gęsto było tak, że ponieważ z matematyka u nich było trudno - nie zgadzało się, więc liczyli po kilka razy. Przy tym nierzadko obrywało się młotkiem po plecach albo po głowie.

Niezależnie od codziennego sprawdzania, kryminalni nasi opanowali bardzo szybko sytuację i terroryzowali pozostałych więźniów. W moim wagonie na 107 osób było ich jakoś 10, spośród siebie wybrali starszego, ten starszy dzielił chleb, rozdawał zupę, a jego pomocnicy całymi dniami penetrowali w wagonie. Wyszukiwali jakieś lepsze rzeczy i albo prośbą, a jak nie prośbą to biciem - odbierali i przekazywali konwojantom. Skarżyć się nie było komu, bo było dla nas wiadome, że nikt inny tylko konwój brał te rzeczy. Nie mógł więc wyciągnąć konsekwencji w stosunku do swoich partnerów w tej działalności.

Po około dwóch tygodniach podróży stanęliśmy w ~~in~~ Krasnojarsku i powiedziano nam, że idziemy do kaźni. Więc bardzośmy się ucieszyli bo chociaż była nadzieja, że się napijemy wody. Ustawili nas kolumną niedaleko dworca była kaźnia, zaprowadzili nas do tej kaźni. Wagonami, każdy wagon oddzielnie. Jeden przychodził, drugi wychodził. W kaźni były prysznicz, dali nam po kawałeczku mydła, rzeczy do desy

infekcji, mogliśmy się tam umyć. Mydła nie było na tyle, żeby się dobrze umyć, ale w każdym razie namoczyć się można było i - przede wszystkim - napić się. Więc piliśmy ile kto tylko mógł. A że pryzmat był też ciepły, więc wszyscyśmy się nagrzali. Wróciliśmy przed południem z powrotem do wagonu. Pociąg stał stale na stacji, słońce operowało, jak się później dowiedzieliśmy, w tym dniu temperatura wynosiła plus 50 stopni. Dach się nagrzał, zamknęli wagon, dali gorące zapę i śledzia. Była piekielna sytuacja - ludzie zaczęli padać jak machy. Mdleli. W pewnym momencie i ja zemdlałem. I tu ciekawa historia: Nade mną na nerach leżał taki chłopak z Urycza, z gór. Prawdopodobnie miał coś do czynienia z banderowcami. Michałko. Prawdopodobnie znał moją ojca czy moją rodzinę, był ode mnie 2-3 lata starszy. Skoczył z tych ner, wsiadł mnie na ręce, przyniósł do drzwi, zaczął mocno w nie pukać. Otworzył mu drzwi taki młody enkawudzista starszyzna. Ten mu powiedział, że tu chłopak zemdlał z gorąca. Enkawudzista (nie wiem, czy odezwała się jakaś solidarność ludzi młodych, jakieś uczucie w tej solidarności) - otworzył drzwi i krzyknął mi wynieść. więc on mnie wyniósł, położył na trawie - jak mi później opowiedzieli przyniósł wiadro wody, wylał na mnie. Ja się ocknąłem. Leżałem z godzinę, nie wiem, oni tam chodzili koło mnie, ci konwojenci. Do jakiegoś czasu kazano wstać, więc wstałem, wszedłem do wagonu, zamknęli. Pociąg ruszył, zaczęli przetaczać wagony, żeby w jakiś sposób wytworzyć wiatr, żeby było trochę powietrza w wagonach. Bo we wszystkich wagonach była taka sytuacja. Ludzie mdleli, nie mieli wody. Później zaczęli polewać wodą dach, wlewać wiadrami wodę do środka i w jakiś sposób opanowali sytuację, bo nie pamiętam, żeby ktoś zmarł w tym czasie.

Ten moment pozwolił mi jakoś głębiej spojrzeć na pewne problemy, jak również dostrzec człowieka w innym człowieku. Bo przecież tu było tak: byłem ja, Polak-akowiec, był Ukrainiec-banderowiec,

i był młody starszyzna, enkawudzista. I w pewnym momencie ci ludzie okazali się "ludźcy" i w jakiś sposób zawdzięczam im może życie, bo może, gdyby nie oni, nie wyszedłbym z tego omdlenia. Wtenczas zrodziła się jakaś solidarność, solidarność skazanych, więźniów. Bez względu na to, czy to był Niemiec, Polak, czy Ukraińiec - byli z jednej strony więźniowie polityczni, z drugiej przestępcy kryminalni. Te urki czy błatnyje, którzy współpracowali z konwojem w sposób konspiracyjny, grabili i terroryzowali politycznych. Sądzę, że ten mechanizm był zaplanowany, że to było w kalkulowane w cały system represji w stosunku do więźniów. Raz: warunki, dwa: skona woda i śledź, brak wody do picia, następnie te grabieże, moralne upodlenie człowieka nie tylko fizyczne ale i moralne - to był ten cały system czerwonego terrorku w stos. do więźniów. Ja sobie tylko jedno pytanie zadawałem: dlaczego wy, Polacy, ~~żyski~~ skazani jesteśmy na taki sam los jak ci, którzy jeszcze wczoraj byli naszymi wrogami.

Z Krasnojarska jechałem dość długo stepami Syberii, stacje były coraz rzadsze, na stacjach pociąg się nie zatrzymywał, jechaliśmy, pogoda się zmieniała, ale przeważnie była czysta i bezchmurna. Pamiętam, objeżdżaliśmy Bajkał i widziałem Bajkał przez zabite deskami i okratowane okna. Nie zrobił na mnie specjalnego wrażenia. Ciemne, szare, brudne wody, daleki brzeg, szare skały wokół, wszystko to mokre jakieś... Może pogoda była wtedy nieszczególna, ale Bajkał zrobił na mnie raczej przygnębiające wrażenie. Nie chciałbym tam nigdy mieszkać i nigdy tam powracać. Nie ma tam nic pięknego do oglądania.

Gdzieś przed Chabarowskiem spotkała nas po raz drugi przyjemność. Zatrzymali pociąg i zaprowadzili nas z wagonu na ~~na~~ przechadzkę. Wychodziliśmy z wagonów i kołem robiliśmy kilka przysiadów, biegaliśmy truchcikiem, w zależności od komendy - takie rozluźnienie i z powrotem do wagonu. I następny wagon itd. Trwało to dość długo, bo transport miał ze czterdzieści chyba wagonów, nie wiem.

Minęliśmy Gsabarowsk, droga na Władywostok i przed samym Władywostokiem (jakieś 30 km) skręciliśmy na północ do Bucht Machodki. Tam wyładowali nas z transportu. To było rano, odprowadzili nas kolumna po pięciu ( w szeregu) nad takie jakieś brudne bajory, ni to jezioro ni to zalew wodny. I taki widok: woda brudna, odrażająca, nad brzegiem tej kałuży stoja więźniowie . W jednym końcu tej wody załatwiają potrzeby fizjologiczne, a w drugim tę wodę piją. Ci, którzy nie mieli siły woli - ja powstrzymałem się, nie piłem. Ale niektórzy, pomimo naszych tłumaczeń, uprzedzeń, powiedzieli, że im wszystko jedno, oni się chcą napić, bo nie chcą umierać z pragnieniem.

Tam staliśmy chyba z pół dnia, potem zaczęto nas ładować na statek. Wtedy po raz pierwszy wchodziłem na statek. Po drugim trapie wchodziliśmy na pokład, z pokładu były luki, otwory i z tych otworów były wprowadzone schody do trium (komór) do ładowania. Statek był towarowy "Sowieckaja Łatwia", motorowiec. Do jednej z tych komór i ja wszedłem po takich drewnianych schodach zbitych na przedce specjalnie do tego celu. Wszedłem do tej triumy - wokół były nary zbudowane, trzypiętrowe. I do tych klatek wsadzali po pięciu czy ośmiu więźniów do jednej klatki. Pośrodku tej komory stała olbrzymia beczka, która miała służyć za toaletę jeśli chodzi o mocz. Natomiast inne potrzeby można było załatwiać wychodząc na pokład, więc kolejka się stała ustawiała po tych schodach. Na pokładzie koło burty była prowizorycznie zrobiona toaleta z desek, było tylko oparcie żeby nie wpaść do morza i bezpośrednio do morza się załatwiano. Beczka była na sznurku, jeżeli się napełniła, to się ją ciągnęło na takim wałku korbą do góry i beczka jechała w górę. W zależności od tego, jak statek się kołysał - beczka też się kołysała i oczywiście polewała wszystkich, którzy byli na dole. Ale nie to było najbardziej tragiczne. Najtragiczniejsze było to, że terror, który istniał w wagonie, tam się jeszcze wzmógł. Ponieważ w wagonie miałem do czynienia z grupą tych urków (dziesięciu czy dwunastu), słodziej

3.

a tu ci kryminalni wytworzyli atmosferę lęku, strachu. Ludzie byli załamani, zgnębieni. Dwa razy dziennie konwój dokonywał sprawdzania stanu więźniów. Czy ktoś mógł uciec z żelaznego okrętu, zrobić dziurę i wskoczyć do morza? No ale to był ich rytuał. Znowu spędzali na jedną stronę, liczyli, nie szczędzili bicia: tymi młotkami, pszkami, po grzbiecie, po głowie, gdzie popadło. Różnie było. Włódsi szybciej przebiegali, byli ludzie niedołężni, starzy, ci czasami bardzo mocno byli pobici i cierpieli. Na wzór oficjalnego sprawdzania kryminalni urządzali sobie również swoje powierki. Ale oni nie ilość sprawdzali, lecz szukali rzeczy. Więc zganieli na jedną stronę i liczyli. Przechodził taki delikwent, nie pogenieli, stanął, kazali mu się rozciąć: co on ma? jaką koszulę? Jeżeli im się coś podobało, to "znimaj zdejmuj to. Bezskuteczne były próby jakiegokolwiek obrony, ponieważ maltretowali, zbili, byliśmy bezsilni. Nie wiem, jak można było tylu ludzi sterroryzować, ale tak było. Przede wszystkim polowali na kożuski, buty, spodnie, czapki. Ale również szukali tytoniu, jakiejś słoniny, zapasów - to nie byli ludzie. Ale najważniejsze było to, że kazali otwierać usta i wypatrywali złotych zębów. Pamiętam jednego Łotysze czy Litwina, starszego faceta. Zauważyli, że ma złota szczękę. Kazali mu ją wyjąć, on nie mógł. Więc przytrzymali go i obcęgami normalnie wyrwali mu tę szczękę złotą. Człowiek się wił z bólu, płakał, bronił się. Pobili go strasznie. Nie dokończył podróży - po paru dniach zabrali go. Czy do szpitala, czy w ogóle zmarł gdzieś - nie wiem. Zupełnie zniszczony człowiek. Tego rodzaju przypadki działy bardzo przynębiająco na pozostałych.

W tym łuku, w którym płynąłem nie spotkałem chyba Polaka, nie pamiętam nikogo. Natomiast już się bardzo przywiązałem do Ukraińca, Michałka, który mnie uratował, jak również nawiązałem kontakt z Estończykami. Ci byli szczególnie biedni, ponieważ mieli dość dobre ubranie, mieli rzeczy dość atrakcyjne, na które polowali ci złodzieje.

W ogóle jeśli ktoś coś miał - nie był w stanie się bronić. Pamiętam, że mnie ściągnęli spodnie, miałem takie granatowe, które dostałem przed wyjazdem i których mi nie zdołali w Ewowie ukraść, bo miałem je na sobie. Więc ściągnęli mi je i dali takie wojskowe, redniczkowe, do butów. Miałem kurtkę granatową ze skórzanym kołnierzem, ale po którejś desynfekcji kołnierz się skurczył. Nie wyglądała atrakcyjnie i dlatego jej nie zabrali. Poza tym już nic nie miałem. Bucików może dlatego nie zabrali, że były za małe. Nic innego nie miałem, więc czułem się "bezpieczny". Jak powiedziałem, nawiązałem kontakt z Estończykami. Bardzo sympatycznie mnie przyjęli i bardzo sympatycznie odnosili się do Polaków. Przemili ludzie o wysokiej kulturze, szybko znaleźliśmy wspólny język, przesiadywałem na ich narach całymi godzinami. Wiele rzeczy dowiedziałem się od nich, mieli orientację, gdzie, w jakim kierunku jedziemy. Byli to przeważnie ludzie starsi. Wśród Estończyków był szef sztabu armii estońskiej w stopniu majora. To był młody człowiek, bardzo przystojny. Ubrany pół po cywilnemu, pół po wojskowemu. Zetknąłem się z nim jeszcze później - kiedy kończył życie. Spotkałem też Estończyka o nazwisku Kutzer, ciekawa postać. Bardzo kulturalny pan, naczelny dyrektor estońskich bekoniarni, który, uciskając w 44 roku z Niemcami, został złapany na morzu Dątyckim i aresztowany. Zostawił żonę i dwóch synów. Z nim się też potem spotykałem w obozie, nawet mu próbowałem pomagać skutecznie.

Podróż w tych warunkach trwała jakieś osiem dni. Wiedzyozessie był maly sztorm. statek się kołysał, miałem chorobę morską, nie mogłem chodzić ani siedzieć, więc albo leżałem, albo wychodziłem na pokład ustawiając się w kolejce do tej toalety. Tak spędzałem dzień, w nocy spałem i tak te osiem dni minęło. Po ośmiu dniach (trudno się było zorientować, czy to noc, czy dzień) statek się zatrzymał, zaczęli nas wypuszczać na pokład. Wychodziliśmy piatkami. Na schodach stał jeden enkawudziasta z aktami, drugi koło niego, wykrzykiwali na-



wywoływali. Wychodziło się na pokład, schodziło po trapie na dół i ustawiało w szeregu po pięciu. Powstawała taka kolumna. Nie mogłem określić, czy to był dzień czy noc - w tym czasie nie zorientowałem się, że to była polarna noc, biała noc. Później się dowiedziałem, że to była noc. Było jasno, słońca nie było. Pierwszy widok przed nami: Buchta Wanina, bardzo znamienny. Skąpa ciemna, ciemny granat, wilgotne to wszystko, szarawe. Ustawili nas w kolumnę, konwój otoczył nas sakramentalna komenda "szag <sup>maraz</sup> w pierście, szag w bok budiet przemieniasia oruzi bez betobrezhdienia", szagom maraz - i pomaszerowaliśmy pod tą górą, taką drogą - do Nagadanu. Nie przechodziliśmy przez miasto, tylko boczną drogą, znowu do obozu - persylnego, tzn. tam, gdzie się szykowało ludzi na dalszy etap. Ten obóz był cały podzielony na sektory, zony, tu były kobiety, tam złodzieje, tam jeszcze inni z każdego transportu. W każdej takiej zonie był chyba jeden barak, czy dwa. Była taka aleja, tą aleją szliśmy - żeby nie było kontaktu. W tych barakach nas nie zamykano, byliśmy tam do rana, dali nam coś zjeść i o dzwono, po raz pierwszy od sześciu czy siedmiu miesięcy był to biały chleb, piękny biały chleb, świetnie upieczony - byliśmy zachwyceni. Okazało się, że to był chleb z maki amerykańskiej, z dostaw UNRRY.

W tej zonie byliśmy parę dni - nie wiem, ile to trwało. Byłem dużo z Estończykami, bardzo często chodziłem z nimi wokół baraku, opowiadali, ilu ich jest, jakie mają (mieli) warunki, czym się zajmowali. Był tam jakiś pastor estoński. Wśród tych Estończyków zaczęły się jakieś nieporozumienia (a byli bardzo solidarni, zdyscyplinowani, porządni, wspomagali się wzajemnie): napuszczanie jednych Estończyków, młodych, b. prymitywnych - na pozostałych. Robienie różnic klasowych. Ci Estończycy sami zaczęli być brygadystami, w jakiś sposób pokazywali władzę swoim rodakom. Nie była to jednak władza tych kryminalistów. (Byli bardziej odporni, potrafili się bronić przed tymi rodzimymi brygadystami, którzy chcieli nad nimi sprawować władzę).

Któregoś dnia wstaliśmy rano (nie wiem, kiedy był dzień, kiedy noc, straciłem rachubę czasu, jaki klimat, gdzie jestem - byłem zupełnie dezorientowany, zagubiony w tym świecie), znowu nas wywołali i zaprowadzili do łaźni. Olbrzymi barak. Wchodziliśmy z jednej strony, kazali się rozebrać do naga, w drzwiach stał kryminalny wiezień, który kontrolował, żeby nic nie przynieść. Wnie udało się przynieść tylko rękawiczki, prawie dziecięce rękawiczki z jednym palcem, z włóczki, robione w domu przez chyba kuzynki, matka mi je dała w ostatnim momencie, gdy wyjeżdżałem z Drohobycza. Te rękawiczki były dla mnie jakimś łącznikiem z domem, symbolem, relikwią. Te rękawiczki jakoś w dłoniach zaciskałem i przeszedłem z nimi. To była jedyna moja pamiątka po tym, co wyniosłem z domu i z Drohobycza.

Poszliśmy do łaźni, myliśmy się, wychodzimy na drugą stronę - i tam się okazuje, że już nam nie dają naszych ubrań, tylko mundurują nas w mundury katorżnicze. Ponieważ byłem katorżnik, dostaliśmy taki niebieski garnitur z brezentu amerykańskiego. Powyżej lewego kolana żółta łata z takiego samego materiału, taka sama łata na kufajce na plecach. I okrągła czapka bez daszki też z taka łata na czole. Dostaliśmy też jakąś bieliznę: spodnie, koszulka biała, gaza zamiast onocy i dostaliśmy amerykańskie wojskowe buty, zupełnie nowe. Buty były ze cztery numery za duże na moją nogę, próbowałem się z kimś wymienić, ale mimo wszystko były o parę numerów większe. Więc jakoś je zawiązałem i próbowałem w tym chodzić. Ogolili na przy tym, niesympatyczna procedura zabiegów higienicznych: wygolenie pod pachami i wszędzie, gdzie były jakieś włosy, ściśnięcie włosów itd. Ja byłem w tej szczęśliwej sytuacji, że jeszcze nie miałem zarobku, więc golić się nie musiałem.

Ustawiliśmy się w szeregu i jak raz (niedużo to była satysfakcja, ale jednak) stałem obok Rosjanina nazwiskiem Kwitozenko, który był majorem armii rosyjskiej, walczącej o Berlin - i z jakichś tam powodów został w Berlinie aresztowany za jakiś współudział czy kontakt

czy szpiegostwo na rzecz Ameryki i skazany na 20 lat katorgi. Tcho-  
dząc do kaźni widziałem go jeszcze w szynelu, w płaszczu wojskowym,  
tylko bez pagonów - i w mundurze oficerskim. A później go zobaczy-  
łem w takim jak moje umundurowaniu. Muszę powiedzieć, że to był wy-  
jątkowo kulturalny człowiek, bardzo solidny, bardzo prawy. On wcale  
się starał kontaktować z nami, tzn. z ludźmi z zachodu, nie utrzymy-  
wał żadnego kontaktu ze złodziejami i Rosjanami. Zaprzyjaźniliśmy  
się chociażby przez ten moment, moment, kiedy nas pozabrali, pozaba-  
wili wszystkiego i ubrali po raz pierwszy w te katorżane mundury. I  
ten moment był jakimś chrztem, wspólnym, ten myśmy się jakoś zbrata-  
li z nim. Pamiętam, on stał, rozmawialiśmy. Żołnierz, jakiś konwojent  
zwrócił mu uwagę. On nie wytrzymał nerwowo i zaczął krzyczeć do tego  
żołnierza: "Ach, ty smarkaczu, ja, sowiecki oficer, całą wojnę prze-  
szedłem, od Stalingradu po Berlin, a ty na tyłach się dokowałeś i te-  
raz mnie zaczynasz uwagi zwracać?" A ten bez pardonowo krzyknął, żeby  
się uspokoił, bo go zakucje w kajdany i do karceru go odeśle. Widzie-  
łem, jak temu majorowi łzy z oczu pociekły i powiedział: "Kuchaj, to ja  
walczyłem za tę ojczyznę, a one mi przygotowała taki los". Z tym  
Kwitozhenką myśmy podróżowali później cały czas i byłem przy jego  
śmierci.

Dostaliśmy się z powrotem do obozu, już do innego baraku, już nie  
pamiętam, jaki tam był rozkład posiłków, bo tam spaliśmy, jedliśmy,  
do kaźni chodziliśmy - cały czas coś się działo. Po przemundurowaniu  
jeszcze nas zaprowadzili do wypisywania numerów. Wiesz z szablonem  
wypisywał numery. Na nodze, na czapce i na plecach. Ten mój pierwszy  
numer po prawie 46 latach pamiętam: W 736. Człowiek tam był numerem,  
wszystkie inne zapomniałem, a ten jeden bezbłędnie zapamiętałem. Tak  
mi się w pamięci utrwalił. Bo wtedy mi powiedziano: "Pamiętaj, od w-  
dzisiaj ty jesteś tym numerem". Po prostu ja, jako głody człowiek,  
przejąłem się tym, zidentyfikowałem się z numerem.

Część moja szczęście polegało może na tym, że ja nie zakonywa-

łem. Miałem cały czas jakąś nadzieję - nadzieję na powrót. Muszę jeszcze powiedzieć, że przez cały czas, w więzieniu, w czasie podróży, cały czas gorąco modliłem się. (...). Prowadziłem taką rozmowę z Bogiem, to mnie podtrzymywało na duchu, nie pozwalało mi się załamwać, zapobiegało rozpaczom - bo to by było straszne.

Po wypisaniu numerów, następnego ranka, wyprowadzili nas, uformowali kolumnę i podprowadzili pod takie olbrzymie angielskie wozy. Towarowe. Nie wiem, jak się nazywały. Był tam ciągnik, na który wchodziło 40 osób i olbrzymia przyczepa, gdzie wchodziło chyba ok. 100 osób. Szesnaście kół - przyczepy dostosowane do przewożenia wielkich ciężarów. Natomiast myśmy nie tworzyli żadnego obciążenia dla tych kół, ilu by nas nie było. Jak jechaliśmy drogą to wszystko podskakiwało, trzęsało - to było jedno wielkie piekło. W dodatku posypali wiadrami podłogi, więc był jeden wielki kurz i jedno wielkie piekło. Myśmy się starali kłesać, siadać - nic nie pomagało. Cały czas podskakiwaliśmy i cały czas nami trzęsało. Skutek był taki, że po paru godzinach większość dostała rozwolnienie. Zaczęła się tragedia. Samochodu nie zatrzymali, ludzie zaczęli żałować potrzeby na miejscu - smród, zaduch i trzęsienie. W tej podróży z Magadanu do kopalni im. Maksyma Gorkiego, cztery czy pięć razy nas zatrzymywano i karmiono. Karmiono nas w sposób specjalny: były takie dość duże miski białe, emaliowane, każda na 5 osób. Do tej miski wlewano jakąś zupę, łyżki drewniane - i jadło się. Wobec tego, że ja tej zupy (to była jakaś rzadka kasza) nie bardzo mogłem jeść, zjawiło się wiele osób, które chciały się mną opiekować i chciały one, abym był w ich piątce do tej miski. Dlaczego? Bo jak ja nie jedłem, to im zostawało więcej. A ja naprawdę nie mogłem jeść, może i to mnie w jakimś sensie uratowało, bo nie napełniałem żołądka, nie dostawałem tak silnego rozwolnienia. Po jakimś dniu, 24 godzinach, zajechaliśmy na ten "Maksym Gorki", wyładowali nas i zaprowadzili (parę kilometrów) do obozu.

prawdopodobnie to był ODP - Oddział Łagiernych Punktów, nr 5. Tam stały dwa rzędy baraków - typowych. Była ich chyba 10, otoczone drutem kolczastym, cztery wieżyczki, wachta przy bramie. Między tymi barakami była jadalnia i kuchnia. Między jadalnią i kuchnią s portiernia było miejsce, gdzie się formowały kolumny, które wychodziły do pracy. Tam też odbywały się apele, sprawdzenia. Miałem katorgę, znajdowałem się w kop. im Gorkiego, gdzie byli nami katorżnicy i gdzie był szczególnie zaostrzony reżim. Zgodnie z przepisami pierwsza 24 godziny był odpoczynek. Rozmieścili nas w barakach, składał się on z dwóch części. Pośrodku było coś w rodzaju korytarzyka, sieni, w której siedział nadzieratela, miał stół i krzesło, po obu stronach drzwi do tych sal, pseudo-sal. Żeby obrazowo przedstawić: byłem po latach w Brzeżance i zobaczyłem tam jedyny zachowany barak, który stanowi jakiś eksponat muzealny. Jak wszedłem do tego baraku (ktoś ~~mi~~ mi mówi, że w tym baraku na tych narah mieszkali ludzie) zamknąłem oczy i nie wiedziałem, czy to jawa czy sen. Absolutnie identyczne baraki były właśnie tam, na Kółmie. Z tym że tam były niskie temperatury, baraki zimne, szronem pokryte. Ale nary, jakiś stół, beczka taka żelazna, obok małe pomieszczenie rzekomo do suszenia odzieży (ale suszyć nie można było, bo zwykle piecyk się nie palił). Bez żadnych materacy na tych deskach myśmy te pierwsze noce przespali. Rozdzielili nas i zamknęli. Gdy ktoś chciał do toalety - zbierała się grupa po 5 wypuszczano piątkę i następną, gdy te wróciła. Toaleta była parę metrów za barakiem. Więc tę piątkę odprowadzał, przyprowadzał itd.

Później już cały czas poruszaliśmy się brygadami. Brygadzieta był przeważnie kryminalista lub Rosjanin z wojskowych. Brygada wychodziła na posiłek, brygada wychodziła na roboty na rzecz obozu i brygada wychodziła do pracy. Pamiętam pierwszy dzień, kiedy nas wyprowadzono. Pobudka, na śniadanie. Dawano nam herbatę, biały chleb i miskę żopszy, czyli klusek białych z amerykańskiej maki. Wyżywienie o całej niebo lepsze niż w podróży. Po śniadaniu wyprowadzono nas na

plac i tam stawaliśmy i wychodziliśmy do pracy. Procedura liczenia (kilka razy zanim brygadę wypuścili), wyszliśmy za bramę. Konwój nas zatrzymał, otoczył, ręce skuli do tyłu, psy - pod bagnietami nas prowadzili 3 km. do kopalni złota.

Weszliśmy na teren kopalniany, na uczestkę (takich uczestków miejsc wydobycia złota było kolokalnie w całej kopalni im. Gorkiego), tam podszedł do nas więzień ubrany po cywilnemu. Jak się potem okazało nie był to katorżnik, miał "isprawitiel trudowyje lagiera" (Lagier wychowawczy), kończył już wyrok. Zostało mu pół roku czy rok. Nazywał się Tertyczny. Opatrznościowy dla mnie facet, którego mile wspominam. Jeden z najsympatyczniejszych ludzi, jakich spotkałem w tych czasach ciężkich.

Okazało się, że w brygadzie była większość ludzi młodych, jak ja. Z tym że byłem jedynym Polakiem. Poza tym byli Estończycy, Ukraińcy, Łotysze, Litwini, Rosjanie. Ten Tertyczny siedł z nami na kamieniach (konwój stał po bokach), zaczął rozmawiać. I mówi, że też miał 18 lat, gdy się dostał, jak była czystka, do więzienia w 37r. Też odsiedział prawie 10 lat, jakoś przeżył, znaleźli się dobrzy ludzie, którzy mu pomogli. Teraz już kończy wyrok, nas rozumie i jeżeli będziemy się starali dobrze pracować, to on nam pomoże i będzie się nami opiekował, szczególnie młodymi.

I rzeczywiście dotrzymał w jakimś sensie słowa, bo potrafił w jakiś sposób osiągnąć bardzo wysokie wykonanie norm i w związku z tym były wysokie normy żywienia. Dostawałem wówczas 900g chleba i 3 czepaki kaszy. To była jedna z najwyższych norm żywienia. Pierwsza robota. Posłał nas do starej, wyrobionej kopalni, z której trzeba było wyciągnąć szyny kolejowe do wagonu. Pamiętam - wszedłem do nory 200 metrów pod ziemią, z lampą karbidówką. Ciągałem się na brzuchu - makabrycznie. Tam po raz pierwszy bardzo gorąco zapłakałem, w ogóle nie chciało mi się żyć. Miałem na rękach te niebieskie rękawiczki (był początek lipca, do Magadanu na Wołymie przyjecha

łem 20-21 czerwca), szyny były oblodzone i te zakawicki porwały mi się. Zrobiło mi się strasznie żal, ale skóra gołych rąk do szyn by przywarła. Byłem nieszczęśliwy, obolały, zakamany kompletnie - uważałem, że za mną koniec, nie przetrzymam tego.

Jakoś wyciągnęliśmy tych kilka szyn, odnieśliśmy na miejsce, gdzie wskazano, chyba jeszcze raz poszliśmy do kopalni i na tym skończył się 12-godzinny pierwszy dzień pracy. Pierwszy dzień pracy w dolinie Niżnyj Atoriach - to znaczy po eweńsku "Dolina Śmierci". To był dla mnie straszny dzień, do końca życia będę go miał w pamięci. Byłem biedny, zagubiony, nieszczęśliwy, nie widziałem żadnej nadziei jedynie modlitwa. Właśnie od tego dnia modliłem się co dzień cały dzień. Dokuczały nam komary, było ich mnóstwo. Wdijałem z nóg snoco, włożyłem pod czapkę, żeby osłonić uszy i kark przed komarami.

Przywozili nam obiad na miejsce, tam jedliśmy, potem znowu kopalnia. Wieczorem zbiórka, znowu nas skuwali w kajdany i pod konwojem z psami - do obozu. Droga była bardzo trudna. W niedopasowanych butach było mi bardzo ciężko chodzić po nierównościach, kępach trawy, wybojach, kamieniach. Strasznie się męczyłem. Prowadzono nas dość szybko, prawie pół-biegiem, stale poganiając ("Bystrej, bystrej"), przedtem oczywiście podliczano, sakramentalne słowa "szag w bok, szag w zad ... (...) szagom marsz!" Do obozu trzeba było iść ok. godzinę, z tym że było lato, nie było zmierzchu, ciemności. W obozie, jeśli było miejsce w stołce, szliśmy na kolację. Jeśli nie było, sadzali nas przed jadalnią i musieliśmy czekać, aż się zrobi miejsce. Czasem czekaliśmy na posiłek pół godziny, czasem godzinę, dwie. Żeby szczęście było pełne, to po tych dwunastu godzinach na kopalni musieliśmy jeszcze dwie do czterech godzin odpracować na rzecz obozu. A więc trzeba było w beczułkach (20-25 litrów) drewnianych na drągach (dwóch ludzi na beczkę) iść pół kilometra po wodę do rzeki. Cała brygada musiała co dzień przynieść wodę, niby dla siebie. Po skarpie trzeba było się wspinać w górę, było to strasznie niewygodne

ziemia osuwała się - jeden wielki koszmar. Po przyniesieniu wody jeszcze trzeba było zrobić porządek w obozie. Albo dawano nam miotły i trzeba było zmiatać, albo czyścić toaletę, albo iść poza ogrodzenie i rwać trawę na sienniki, bo ich nie mieliśmy. Trawę trzeba było suszyć na siano, potem dano sienniki i trzeba je było naładować. Tak było co dzień. Jedliśmy kolację, szliśmy spać około 11-12-tej. Wstawaliśmy bardzo wcześnie, budzono nas przed piątą, znowu trzeba było iść po wodę, jakaś pseudo-toaleta i do pracy. Jak była pogoda to pół biedy. Ale w sumie ciężka praca fizyczna trwała ok. 16 godzin na dobę. Jeśli policzyć na posiłki 2 godziny, na sen zostawało ok. 6godz. W tym stylu można było przepracować tydzień-dwa i człowiek nie zaczął załamywać. Ja poczułem się jak na księżycu: nogi miałem ołowiane, nowy nie było o bieganiu, bolały mnie w kolanach przy noszeniu. Po wstaniu nie mogłem rozprostować palców u dłoni, palce były skurczone. Nastraszyłem się, nie wiedziałem, co się dzieje.

W obozie ludzie zaczęli chorować, coraz więcej więźniów skarżyło się na dysenterię, tzw. ponos.. Dostałem też ponos: temperatura, rozwolnienie, byłem wycieńczony. W baraku zaprzyjaźniłem się z Ukraińcem z Borysławia, Merezem. To był młody chłopak, wysportowany, grał w drużynę piłkarskiej w Borysławiu. Bardzo mi życzliwy, spaliśmy na jednych narach. Był trochę starszy ode mnie i opiekował się mną, dawał mi praktyczne rady, gdzie mógł to pomóc. jak było za ciężko. Pracowaliśmy w jednej brygadzie. Zobaczyłem, że zachorowałem i powiedziałem, żebym poszedł do lekarza. Ale ja już nie miałem siły, ochoty, było mi wszystko jedno, mogłem umierać tam, na miejscu, mogłem tam zostać. I on sam poszedł do nadzorca i zmeldował, że jest tu pacjent (młody chłopak w łargonie rosyjskim) balnoj i do lekarza potrzebuje. Przyszedł nadzorca: "No dawaj, zabieraj się!". Więc wyszedłem bezwolnie do ambulatorium. Barak, jakaś jedna ławeczka w korytarzu, kabinełka i jakiś pseudo-lekarz, felczer przyuczony, żaden medyk, ale potrafił się urządzać, zrobił się lekarzem i był tzw. wrać. Dał mi ter-



nometr. Zmierzyłem temperaturę - dowiedziałem się później od niego, że miałem ponad 39 stopni. Wyciągnąłem termometr, popatrzyłem. "Rozdziawaj się". Pamiętam, że wstałem, podniosłem koszulę na wysokość twarzy i zemdlełem, upadłem. On mnie położył na nare, ocucił i mówi bardzo łagodnie: "Niczego, niczego, jutro pójdziesz do szpitala, będzie wszystko w porządku. Idź do baraku, połóż się, masz zwolnienie, jutro do pracy nie idziesz, a jak przyjedzie podwoda, to cię zawiezie do szpitala". Było mi wszystko absolutnie obojętne. W baraku powiedziałem wszystko Mareczkowi, on brygadziście, brygadziście nadzorca. Następnego ranka już na robotę nie szedłem, zgłosiłem się do lekarza. Za godzinę czy dwie przyjechała furmanka, posadzili nas kilku (bo było kilku chorych) i powieźli do szpitala. Tam szpitalowi zawdzięczam życie. Tam pozwolono mi pokonać ten Sybir, zwyciężyć, mogłem się w jakiś sposób adaptować, aklimatyzować.

Na portierni szpitala obejrzelili moje skierowanie, posłali do baraku. Przyszedłem, patrzę: czystościutko, podłoga wyszorowana. białe fartuchy felczerów czy lekarzy. Zaprowadzili mnie do pomieszczenia, które mi się wydało komfortową izbą. W porównaniu z obozem. Ściana emaliowana, wymyli nas, kazali spakować rzeczy, sanitariusz je spisał do książki, przywiązał numer, dał mi czystą koszulę i kałesony i zaprowadził na salę. Była to duża sala, z jednej i drugiej strony stały podwójne łóżka przykryte prześcieradkami, ludzie leżący też przykryci prześcieradkami, bo było tam dość ciepło. Na takim dwuosobowym łóżku leżało po 5 osób. Czterech normalnie, jeden w poprzek w nogach. Jedni byli w bieliźnie, inni nago.

Znalazło się jakieś miejsce, leżakem i łazienką do toalety. Ponos to jest choroba głodu, wycieńczenia, to są pierwsze oznaki kompletnego wycieńczenia organizmu. Któregoś dnia wezwano mnie na badanie do gabinetu lekarskiego. Ordynatorem był Rosjenin, internista, spytał, skąd jestem, jak się nazywam, powiedziałem. Nazwał mnie "Maniuszka" (od Moniuszki, tylko to wiedział) i tak już zostało. Siedzę.

W tym momencie wchodzi tęgawy lekarz, jak się później okazało też wie-  
zień - Borys Siemionowicz Konowałow. Jemu zawdzięczam uratowanie ży-  
cia. Spojrzał na mnie (był chirurgiem), pyta, skąd jestem. Ten z ko-  
lei nazwał mnie Przek (bo tak Polaków też nazywano). Powiedziałem.  
A, Polak. Becz się, zobaczymy. Wyszedłem. Za parę dni przychodzi do  
mnie felczer Wiks, Fin. I mówi: "Słuchaj, pacen, toba się interesuje  
Borys Siemionowicz Konowałow. Dał ci zastrzyk przeciw dezynтерии,  
który chował dla siebie. Zaraz zrobię ci ten zastrzyk. Wchodzę do za-  
biegowego, Konowałow pyta: "No, zdiełeli ukoł?". "Tak". - "To charaszo,  
jak się czujesz?". Więc ten lekarz ordynator interny mówi, że jestem  
prawie zdrów, będą wypisywać. Chirurg popatrzył na mnie: "A co cie-  
bie oprócz tego boli?" - "Nie wiem" - "No to pokaż, rozbieraj się,  
obejrzymy cię". W dużym palcu prawej nogi wrastał mi paznokciec, po-  
kazalem, że tu mnie boli, przesakadza. A on: "No widaisz, wot". I do  
internisty: "Przenieść go na chirurgię".

Na drugi dzień rano przyszedł sanitariusz z chirurgii, zarsucił  
mi koc i zaprowadził na chirurgię. Położyli mnie, zaraz wzięli do ga-  
binetu zabiegowego, nogi na stół - rozwalik mi cały paznokciec bez  
znieczulenia, wyrwał wszystko. Krew trochę podziała, krzyknąłem. Nie  
bardzo czułem zresztą ten ból, bo byłem ośpiąły ogólnie, nawet na  
ból fizyczny. Zabandażował nogę, leżałem na chirurgii. Karmili mnie,  
od czasu do czasu dawali więcej jeść. Mnie się tam podobało, bo było  
ciepło, nie trzeba było chodzić do roboty. Leżałem tam około tygo-  
dnia, może więcej. Był tam stary sanitariusz, bardzo życzliwy, przy-  
chodził do mnie wieczorami, opowiadał swoje przeżycia, ile cierpiał.  
Ja też mu o sobie opowiadałem.

Będąc jeszcze na oddziale internistycznym zapytałem felczera  
Wiksa, Fina, co jest z moimi dłońmi. Powiedział z uśmiechem: "Nie  
martw się, pobędzisz tu trochę, to zrozumiesz, dlaczego tak jest.  
To przejdzie". Do pewnym czasie zrozumiałem: to była nadmierne pra-  
ca, wysiłek człowieka nie przyzwyczajonego do ciężkiej pracy, rea-  
kcja organizmu z tym związany stan. To, co robiłem przed przyj-

ściem do szpitala przy wyciu złota, było strasznie wyczerpujące. Ręce drętwiały, nogi ciążyły i zaczynały puchnąć, byłem osłabiony, oślepiał, nie miałem pełnego wyobrażenia, co się ze mną dzieje, wokół widziałem tylko koszmary.

Byłem świadkiem takiego wydarzenia: Któregoś dnia "na rozwozie", tzn. przy wyjściu do pracy, w jednym szeregu stał chłopak, Ukraińiec Urycza. Trzy rzędy za nim stał jego ojciec - obaj zasądzeni za sprawy banderowskie. Ten chłopak stojąc na przodzie, na skraju kolumny, może metr od linii zony, której nie wolno było przekraczać. Nachylił się, bo na tej linii leżał kaczan z kapusty. Sięgnął po niego ręką i w tym momencie padł strzał z wieżyczki. Zginał na miejscu na oczach ojca. Wszyscy byli przerażeni. Ojcu nie pozwolono nawet podejść do syna, nawet pożegnać się nie dano, brutalnie go odpędzono i zbito kolbami - żeby się odsunął. Syna odciągnięto gdzieś za portiernię, a ojca popędzono do pracy. Z a parę dni widziałem tego człowieka. Zupełnie stracił rozum, psychicznie załamany nie reagował na nic. Po pewnym czasie zmarł, byłem wtedy w szpitalu.

Leżałem więc ok. tygodnia. Pewnego dnia przybiegł sanitariusz i mówi, że naczelnik szpitala będzie robić obchód i wypisywać wszystkich ("Prawdopodobnie nie uda ci się utrzymać"). Dyrektorem tego szpitala (Naczelnik san-czasti) była Anna Nikołajewna Szabanowa, rodzona siostra ówczesnego ministra zdrowia Zw. Radzieckiego. Młoda, niedoświadczona lekarka pochodząca z kołchozu, bardzo prymitywny człowiek - została tam przysłana, żeby zdobyć praktykę i doświadczenie. Taki szpital był doskonałym warsztatem dla zdobywania takiej praktyki. Tam można było ciąć, rznąć, zerzynać ludzi, można było obserwować różne zachowania, badać, stosować różne eksperymenty - nikt za to nie odpowiadał. Zawsze człowiek umierał "bo serce nie wytrzymało", albo ew. na gruźlicę. Zrobiła obchód i poleciła mnie wypisać na robotę.

Wróciłem do tej samej brygady i zacząłem pracować. Te same mordercze dni pracy. Moja brygada myła złoto na tzw. amerykańkach, po rosyjsku mówiło się prechednuszki. Było to korytko, na górze skrajnie z dnem z metalowej siatki. Na tę siatkę wrzucało się kopate czy dwie piasku (gliny). Obsługiwało taką amerykańkę trzech ludzi. Jeden "skrybkom" (coś w rodzaju płaskiej motyki) rozbijał piasek, drugi niedużym wiadrzem na drągu nabierał wodę i polewał, a trzeci na taczkach dowoził piasek do przelewania. Norma: namyc 5 gramów złota na osobę. Na takiej amerykańce musieliśmy namyc w trójkę 15 gramów złota. Udawało się czasem namyc więcej. Zależało to też od brygadzysty mistrza, który wskazywał odpowiednio dobry grunt, gdzie zawartość złota była większa. Czasami zdarzały się tzw. samorodki, grudki złota wielkości paznokcia na małym palcu, lub nawet większe, ale ja nie miałem szczęścia znaleźć nic większego.

Czy się polewało, czy skrybkom rozprowadzało piasek, czy wozilo ziemię taczka - zawsze człowiek był wykończony. Trwało to 12 godzin. Bardzo mocno modliłem się (...), uważam, że głęboka wiara i modlitwa uratowała mnie, bo jak to inaczej można wytłumaczyć? Chłopak 18 letni, warty, przeniesiony na daleką północ, gdzie jest surowy klimat, brutalna wółka o byt - potrafił przejść to wszystko, zachować się i wrócić. Gdy była pogoda, to pół biedy, bo można było zdjąć kufajkę, było sucho. Gorzej, jak zaczęły padać deszcze. Gliniasta droga była dwa razy cięższa do pokonania, buty się ślizgały, człowiek upadał, nie można było nigdzie usiąść, piasek był dwa razy cięższy, nasiąkał nięty woda. Wszystko sprzysięgało się przeciwko człowiekowi. Wróciło się wieczorem do baraku, nie było gdzie suszyć rzeczy. Nie mając materacy, urządziliśmy się z kolegą w ten sposób, że jedną kufajkę kładło się na żerdzie nary, drugą, także mokrą, przykrywaliśmy się. Onuce poś siebie, żeby nikt nie ukradł, buty pod głowę - i tak się spało. Była jeszcze znaczna temperatura, więc można było spać pod

tą kufajką. (...) Sienniki dostaliśmy później (te nabite przez nas trawą) i to była cała nasza pościel. Przy sali w baraku była malutka kaptiorka, stał tam piecyk, gdzie się paliło i suszyło rzeczy, ale tam trudno było się dostać, bo w baraku było 50 - 100 ludzi, tam był straszny tłok i dopchać się było trudno. Silniejsi radzili sobie, ja w tych warunkach okazałem się bardzo niespradny. Zresztą, coraz bardziej obojętniałem, coraz bardziej było mi wszystko jedno, nie widziałem sensu życia, nadziei - tyle że się modliłem.

Jednego dnia zmęczony i zrezygnowany szedłem do stołówki. Ktoś ukradł mi czapkę z numerem, zauważył to nadzorca, spytał, gdzie czapka. "Ktoś mi ukradł". Popatrzył: "Ach ty fajtlapo jedna. Nie nikomu nie mów, na rano ja ci czapkę skombinuję". Rano zgłaszałem się do niego, daje mi czapkę, bierze na bok i pyta, czy bym chciał pracować w kuchni. Wielkie szczęście, radość, nie wiedziałem, co mam robić, czy nie skakać. A on mówi, że na razie będę chodził do pracy, a jak wrócę po 12 godzinach, to zamiast te 4 godziny wodę nosić itd - będę mył w kuchni naczynia. Już sobie wyobrażałem, że osiągnąłem Bóg wie co. Bo to od razu i większa porcja Żopszy, klusek, i więcej zupy, i inne możliwości.

Następnego dnia po pracy poszedłem na kuchnię myć naczynia, ale już wcześniej w ciągu dnia (poprzednio padał deszcz, byłem przemoczony i zmarznięty) czułem się jakoś źle. Następnego rano obwyciła mnie wysoka temperatura. Ze złości i żalu zapłakałem. Uśmiechnął się do mnie los, miałem możliwość iść na kuchnię - i ~~tracię~~ tracę to. Jeszcze jeden dzień poszedłem tam z temperaturą, jeśli już nie mogłem, ale za wszelką cenę chciałem się utrzymać, żeby ktoś inny nie zajął mojego miejsca. Myślałem, że to przejdzie. Ale gdy wróciłem z kuchni, byłem już bardzo rozgorączkowany. Marecz, który ze mną spał, zaczął mówić o lekarzu - słyszeć nie chciałem. Ale już się prawie podnieść nie mogłem. Poszedłem do ambulatorium, felczer zmierzył mi

temperaturę i powiedział, że mnie odeśle do szpitala. Zacząłem prosić, żeby tego nie robił, że jeszcze jeden dzień, że to przejdzie... Wtedy on: "Nie bój się, Borys Siemionowicz Konowałow pytał o ciebie, kazał cię przysłać". Byłem zaskoczony, nie wiedziałem, co myśleć. A on: "Po południu przyjdzie konwój i odprowadzi cię do szpitala, a ja tymczasem tam zadzwonię". Pogoda była dość ładna, więc, drogę do szpitala 5 czy 6 km. przeszedłem jakoś, choć z trudem. "Na bramie" spotkałem sanitariusza Sołdatowa, który mówi: "Borys Siemionowicz się tobą zainteresował, przyjdiesz do pracy do nas, na chirurgię." Powinienem trafić na internę, ale od razu położyli mnie na internie. Przyszedł Konowałow i mówi: "Oddychaj, nabieraj sił, przychodź do zdrowia, będziesz u nas sanitariuszem." Byłem w siódmym niebie. Za moim pierwszym pobytom w szpitalu lekarznicy nie mogli tam pracować, teraz już widziałem kilku chłopców w moim wieku w niebieskich koszulach czysto wypranych, ładnych spodniach z numerami. Pracowali jako sanitariusze. Od razu nowy świat, wspaniały, różowy. Spotkało mnie wielkie szczęście. Leżałem kilka dni, niecierpliwym, bardzo rwałem się do tej pracy.

Zostałem sanitariuszem operacyjnym. Pracowałem bardzo ciężko. Wstawałem o 5 rano, a szedłem spać w najlepszym wypadku o 11-tej, a często-gęsto, jak były nagłe nocne operacje, nie spałem całą noc. Do obowiązków moich należała opieka nad 30 kółkową salą. Musiałem co dzień rano szorować tam białą drewnianą podłogę, zmieniać pościel, nakarmić chorych, przygotować do obchodu. Uczestniczyłem w obcho- dzie z lekarzami. Zaczynali od mojej sali, robili uwagi. Za każdym razem drżałem, żeby mnie nie ocenili negatywnie. Każdy obchód mojej "pałaty" (sali) był dla mnie przeżyciem, stałem pełen strachu bo to była sprawa być czy nie być, utrzymam się, albo mnie wyrzucą, jeśli nie sprostam zadaniu. Ale jakoś przechodziło dobrze. Konowałow był mi życzliwym, bardzo serdecznym, opiekuńczym. Nie odczuwałem

ciężaru pracy, bo zdawałem sobie sprawę, co się koło mnie dzieje, ile jest zgonów, jak ludzie się strasznie męczą. Ja byłem jednym z wybrańców losu.

Kiedyś Konowakowa nie było i obchód robił felczer Sołdatow. Podobno służył w marynarce w Leningradzie i tam go aresztowali. Był jeszcze z naboru sprzed 39 roku, bardzo źle ustosunkowany do Polaków. Przechodząc przez salę zauważył, że jeden z tych nieszczęśliwców, choć rych oderwał pas, kawałek koca, prawdopodobnie przygotowywał dla siebie oruże na wyjście. Ten kawałek koca zginał. Sołdatow podszedł do mnie i po raz pierwszy uderzył mnie w twarz i strasznie skrzyczał. Byłem zaszokowany, bo on też był więźniem. Wynikła z tego awantura, pracował tam felczer Michał Samojłowicz Broński, Żyd, który był komisarzem batalionu w Odessie. Był mi życzliwy, powiedział wszystko Konowakowi, ten skrzyczał z kolei Sołdatowa i powiedział mu, że jak coś takiego się powtórzy, to on go wyrzuci na zbity łeb. Sołdatow już mnie nie tknął, ale przyjacielem moim nie był, pokpiwał sobie z Polaków.(...)

Przed ósmą było śniadanie, karmiłem swoich chorych, a o 9-tej zaczynały się opatrunki w pokoju zabiegowym. Do moich obowiązków należało wywoływać, przyprowadzać albo przynosić na rękach tych ludzi okaleczonych, często po amputacji nóg, z flegmoną (ropny obrzęk, to się nacinało). To trwało do obiadu, do pierwszej. Uwijałem się, bo chorych było sporo, lekarze nie mogli czekać, więc jednego przyprowadzałem, drugiego odprowadzałem i tak cały czas w kółko. Nie miałem ani minuty wytchnienia. Musiałem też zmieniać opatrunki. Rzedliśny obiad. Po obiedzie nie było zabiegów, ale była izba-żaćnia ("Tu bowaje"). Tam stał żelazny piecyk, na nim pojemnik, do którego wlewało się wodę, a w zimie śnieg się topiło, grzało się tę wodę. Była tam też wanna, kuszетка, stolik. Tam po południu przyjmowałem chorych do szpitala na oddział. Każdego chorego trzeba było poprowa-  
dzić

do izby, rozebrać, spisać jego rzeczy i je związać (bo najczęściej to byli chorzy z temperaturą albo z ranami, pokamiani), później wsadzić chorego do wanny i umyć. Byli to ludzie potwornie brudni, tygodniami nie myci, a na oddział musieli iść czysti. Wydawałem im białą koszulę, kalesony i odprowadzałem na salę. Dziennie przyjmowałem 20-30 osób. Trwało to do kolacji. Rozdawałem kolację i po kolacji albo był jakiś obchód, albo zabieg w sali operacyjnej. Miałem pod opieką salę operacyjną, którą musiałem całą myć, przygotowywać sterylne rzeczy, narzędzia, a w czasie operacji asystowałem w sali. Instrumentariuszem był Michał Semojłowicz Brodski, ale ja mu pomagałem. Chołdatow dawał najczęściej narkozę albo asystował chirurgowi, wtedy narkozę dawał Kostia Perczyn, Ukrainiec z Krakowa, który skończył niemiecką dwuletnią szkołę i był skazany na 15 czy 20 lat, zresztą zmarł tam. Codziennie były jedna-dwie operacje, potem należało było sprzątnąć, narzędzia wyczyścić, wysterylizować i salę zamykałem. To trwało do 11, 11.30, potem mogłem iść spać. Bardzo często gdy już spałem, po godzinie stukanie do drzwi - przywieźli ciężko rannego, postrzelonego, albo z kopalni. I zaraz ich operowano. Znowu trzeba było ich rozebrać, myć, zanieść na salę operacyjną. Pomagał mi w tym jeden z sanitariuszy - albo Adam Jarmolczuk, Ukrainiec z Równego, banderowski starszyna, albo Stioпка (Ściopka?), też banderowiec spod Lwowa, trzech nas tam pracowało. Mili chłopcy, żyliśmy się, jedliśmy prawie z jednej miski, wzajemnie pomagali sobie, unosiliśmy jeden los (...)

Żyłem dniem dzisiejszym, od śniadania do obiadu, od obiadu do kolacji. Czasem w izbie przyjęć, jak była zamieć, siadałem przy okienku i patrzyłem na tańgę, na góry, sopki pokryte śniegiem. I powtarzałem sobie, jaki jestem szczęśliwy. Wspominałem dzieciństwo, rodziców, dziękowałem Bogu, że byłem sam. Obgwiekałem się jednego! żeby któregoś dnia wśród tych chorych, którzy tu przychodzą, nie



spotkać brata czy ojca. Nie wyobrażałem sobie, że kiedykolwiek powrócę do Polski, będę inaczej żyć, pogodziłem się z tym, że jestem białym niewolnikiem XX wieku, którego mogą zamordować, zarżnąć, wrzucić do kopalni - zdany byłem tam na kaprys każdego, kto był ode mnie silniejszy. Byłem młody, życiowo niezaradny (...)

Podczas nocnych operacji częste były wypadki śmierci delikwenta na stole operacyjnym. W każdym przypadku chirurg podejmował się operacji, chociaż czasem byliśmy przekonani, że człowiek nie przeżyje, że to bezcelowe. Ale Konowałow uczył mnie, że w każdym przypadku człowiekowi należy udzielić pomocy, bez względu na to, czy jesteśmy przekonani, że mu pomożemy, czy nie. Raz np. przywieziono człowieka, który był postrzelony w kręgosłup, w szyję. Kompletnie sparaliżowany. Konowałow wieczorem czy był zmęczony, czy powodowały nim inne przyczyny, zdecydował, że pacjent umrze, że jest to kwestia paru godzin. Nawet nie zanieśliśmy go na salę operacyjną, leżał w izbie przyjęć na kuzetce. Rano przychodzi chirurg - on żyje. Nie spałem całą noc, siedziałem przy nim. Chirurg się zdenerwował "Umrze na pewno do południa". Przeszło południe, on żyje. Ten nieszczęśliwy sparaliżowany żył trzy dni. Przez te trzy dni myślałem, że chirurg oszaleje. Miał wyrzuty sumienia, że go nie operował. Rozumiałem go. To był więzień, człowiek szlachetny, nie lekcewał sobie człowieka w przeciwieństwie do Anny Szabanowej, która człowieka traktowała jak eksponat do eksperymentu. Konowałow utożsamiał się z więźniem, którego spotkało nieszczęście. Od tego czasu nie widziałem, żeby odbywał operację, choćby na umierającym.

Operowano codziennie bardzo dużo ludzi. często bez narkozy, bez leków, nici, nawet gdy operacja się udała. chorzy umierali często po dwóch dniach, jednym dniem. Codziennie wynosiliśmy ze Sziopka tych zmarłych do kostnicy poza obręb szpitala. przez zime wynosiliśmy 8-12 osób codziennie. z jednego oddziału chirurgicznego, a oddzia-

ków było cztery. A zgony były takie same, a nawet większe na innych oddziałach. Na wiosnę dowiedziałem się, że z pięciu tysięcy więźniów w obozie - zostało żywych dwa i pół tysiąca. Z tego na 500 Estończyków zostało żywych 50. Mniej umierali Rosjanie, byli bardziej odporni. Polaków było stosunkowo niewiele i jakoś sobie dawali rady. Procent umieralności wśród Polaków nie był tak wysoki jak ogólny, nie mniej umierało ich sporo.

W szpitalu pełniłem też inną, dziwną rolę. Któregoś dnia z oddziału interny przychodzi do mnie sanitariusz Wowczuk (Ukrainiec chyba ze Lwowa) i mówi: "Jesteś Polakiem? U nas na oddziale umiera jakiś Polak, proszę, żeby przyszedł Polak". Poszedłem, widzę, czterdziestolatni może facet, wychudzony, pyta, czy jestem Polakiem. "Proszę pana, nazywam się tak i tak, jestem porucznikiem pułku szwoleżerów z Warszawy. Mam żonę i dwie córki. Jeśli pan przeżyje, niech pan przekáže mojej rodzinie, że tutaj umarłem". Pomodliliśmy się, przeżegnał się i na moich rękach zmarł. Do tej pory nie spełniłem jego życzenia, nazwiska nie pamiętałem, nie zapisałem (nie miałem możliwości), ale dzisiaj powtarzam wszędzie wokół tego rodzaju polecenia - testamenty ludzi, którzy zostali tam na wiecznej warcie. A było wielu Polaków, którzy <sup>umarli</sup> na moich rękach. Rozmawialiśmy w ich ostatniej godzinie o Polsce, o Bogu, o rodzinie. Pokrzepiani w ten sposób łatwiej umierali. Byłem wtedy najbliższą rodziną tego człowieka. Szedłem w każdym przypadku, kiedy mnie poproszono, lub dowiedziałem się, że jest jakiś Polak - szedłem i starałem się mu asystować do ostatniej chwili życia.

Tak przeszła zima, przeżyłem mróz minus 62 stopnie. Byliśmy w jakiś sposób odizolowani od tej tragedii, która się wokół nas rozgrywała. Może niespełnie byliśmy syści, ale nie odczuwaliśmy głodu w taki sposób jak ci, którzy pracowali w kopalni. Byliśmy w ciepło. Praca była ciężka, ale nie ponad moje siły. Już mogłem zaciękać

dłonie (...), chociaż praca była również po 16 godzin na dobę. Na wiosnę (to był maj czy czerwiec) któregoś dnia med-statystyk (medycynski statystik) Wereszczagin, inżynier drogowy z Charkowa który w 37 roku dostał wyrok 5 lat, posiedział 5 lat - była wojna, dali mu zawiadomienie, że będzie siedział do końca wojny - wojna się skończyła, dali mu drugie zawiadomienie, że będzie siedział do specjalnego zarządzenia (I ten facet siedział chyba 12 lat, mając wyrok początkowy 5 lat) opowiadał mi, że na "Maksymie Gorkim" w latach 1939-40-42 było bardzo dużo polskich oficerów. Opowiadał, że pracował w kostnicy z jednym polskim kapitanem, który pełnił rolę grabarza. Że tam dużo polskich oficerów zmarło i zostali pochowani obok szpitala. Tych, którzy przeżyli gdzieś wywieziono, przyszli inni, Rosjanie, a w końcu myśmy przyjechali.

Wereszczagin przyjeżdża kiedyś z "uprawlenia" (biura) z radosną wiadomością : przyniósł zawiadomienie, że mnie Rada Najwyższa zdjęła 5 lat wyroku i już nie jestem katorżnikiem tylko ITK (Isprawitiel Trudowyje Łagiera). Była wielka radość wśród moich współpracowników, lekarzy. W ciągu godziny mnie przemundatowali, przynieśli - jeden czapkę, drugi koszulę jakąś, inny spodnie, żebym nie wyglądał jak katorżnik. Teraz mogłem chodzić bardziej po cywilnemu. Już nie pracowałem na chirurgii, Anna Nikołajewna przeniosła mnie do biura na niewalnego, to coś w rodzaju posługacza, sprzątacza. W dzień sprzątałem, nosiłem jedzenie ludziom z biura, w nocy natomiast miałem dyżur przy telefonie. Był tam więzień, ~~XXXX~~ Abram Borysowicz Garbowicki (podobno kiedyś oficer wyższej rangi, który w 37 roku dostał wyrok z TKD - Trockiskaja Kontrrewolucyjna Diełatielnośt, sądony znaczenie, zamiast 5 lat przesiedział 12 i był jeszcze więźniem, gdy Wereszczagina zwolniono. Był ten felczer Brodski i statystyk po Wereszczaginie, też żyd, Brykier, żyd z Biełogostoku, który w czasie rewolucji dostał się do Moskwy i w Moskwie był przez pewien czas naczelnym dziennika "Krasnaja Zwiezda". W 37 roku dostał wy-

rok za to, że numer pierwszomajowy został opóźniony o parę godzin, ponieważ na pierwszej stronie wyszedł jakiś defekt - biała linia przeszła Stalinowi pod nos. Więc on nakład wstrzymał, wypuścił og-  
ły na nowo, ale już z opóźnieniem, za to mu przyszyli UD (Kontrrewolu-  
cyjna Działalność) i dostał 10 lat, w sumie odsiedział 15.

Tych trzech przeprowadziło ze mną rozmowę. Powiedzieli mi, że mam jeszcze długi wyrok, nie wiadomo, co ze mną będzie. Żebym się zastanowił, jak się urządzić, żeby nie pracować w kopalni. Odpowiedzieli mi, że gdybym znał dobrze rosyjski, to ponieważ ukończyłem w czasie okupacji szkołę handlową i znam księgowość, mógłbym pracować jako księgowy. Bo ten O , który jest w tej chwili, zwalnia się i odchodzi. Oni mi załatwią, że będę księgowym na jego miejsce. I rzeczywiście. Od tego czasu zacząłem intensywnie czytać książki rosyjskie, szkolić się w ortografii (dyktaty), jakoś tam język podszlifowałem. Gdy księgowy się zwolnił, Anna Nikołajewna ze namową Brykiara zrobiła mnie księgowym.

Sytuacja się zmieniła, życie się inaczej ułożyło, bo już mogłem nawet wychodzić z obozu bez konwoja. Jako księgowy byłem na warunkach uprzywilejowanych. Pamiętam, któregoś dnia przeterminowałem sprawozdanie, które miałem zrobić. Poszedłem do zarządu, żeby je zanieść i złożyć w księgowości. Ci księgowi (połowa to byli więźniowie, Rosjanie) powiedzieli, że w żadnym wypadku nie mogą tego sprawozdanie przynieść, bo jest po terminie, a jeśli się dowie Dymitr Iwanowicz, główny księgowy, to będzie ze mną koniec.

Przestraszony idę do Dymitra Iwanowicza. Stoje drżący pod drzwiami, pukam - nikt się nie odzywa. Pukam drugi raz - znów nic. Zepukałem po raz trzeci, gwałtownie otworzyły się drzwi, przede mną stoi niewielkiego wzrostu szary staruszek w "kosowarotce - toł-  
stowce" (koszula z zapięciem z boku) i mówi do mnie: "Wejdźcie". Wchodzę, on pokazuje na mnie palcem: - "Ty nie ruski" - "Nie" - "A kto wy" - "Polak, skąd wiecie, że nie ruski?" - Roześmiał się i powiedział: "Bo żaden ruski nie czekałby pod drzwiami aż wyjdzie, tylko

zapukałby, wszedł i zapytał, czy można. \*A jak stał pod drzwiami, to już wiedziałem, że z zachodniej strony, że Europejczyk\*. Posadził mnie przy stole i zaczął bardzo sympatyczną rozmowę. To był autentyczny książę Dołgorukow, który w jakiś sposób uratował się w czasie rewolucji i był później głównym księgowym. Oczywiście pierwsze pytanie - czy znam Radziwiłłów, Potockich, innych książąt i hrabiów. Lawirowałem, starałem się wypaść jak najlepiej i osiągnąłem ten cel. Dołgorukow zapisał do mnie sympatią, co mi się opłaciło, bo pewnego razu wypłacił mnie z bardzo przykrych opresji, wybronik. Nie wiem, jak by się to skończyło. Siedziałem u niego jakieś 40 minut, moi koledzy księgowi przestraszeni pod drzwiami (może mnie zamordował?). Wyszedłem, pytają: "No co?" - "Nic, wszystko w porządku". Byłem w tak dobrej komitywie z Dołgorukowem, że jak czegoś potrzebował od Anny Nikołajewny, a często prosił o pożyczanie pieniędzy, to wzywał mnie do siebie, dawał list, a ja przekazywałem Szabanowej. W tym czasie i jej stosunek do mnie był inny, sytuację więc miałem korzystną. Mimo to nie mogłem myśleć, kim jestem, gdzie jestem, kiedy to się skończy. Żyłem dniami dzisiejszym, wokół mnie był głód, nędza, śmierć.

Pamiętam taki przypadek, to było chyba w 1947 w lecie, 15 lipca. Zatelefonowano z kopsalni, że był w nocy przymrozek i dwóch wieśniów zamarzło. Szabanowa wydała polecenie, żeby ich przywieść do szpitala. Staliśmy przed portiernią, stała Anna Nikołajewna, chirurg Konołow, felczer Brodski i dwóch sanitariuszy-katorżników, m.in. Stioпка, który ze mną pracował. Przynieśli tych dwóch nieszczęśliwców na wózku przywieśli, od razu ona machnęła ręką, żeby ich zawieść do kostnicy. Zawieźli do kostnicy, sanitariusze rzucili wśród innych trupów, furmanka zawróciła i odjechała. Wtenczas podchodzi do mnie ten Stioпка i mówi mi na ucho: "Ale ci dwaj żyją! Oni się ruszali". Powtarzam to Annie Nikołajewnie, a ona: "Nie może być, to jest niemożliwe!" - i do Brodskiego: "Idźcie sprawdzić". Brodski poleciał, sprawdził, rzeczywiście byli żywi. Obydwóch zabrano na oddział,

Jeden przeżył i żył, drugi zmarł na oddziale, bo był zbyt przemęczony. Przypadek, który obciąża cały system tej "san-czasti" i Annę Nikołajewną. Wiedziała, że dzieją się takie sprawy, że giną ludzie, że człowiek jest traktowany gorzej zwierzęcie. Na potwierdzenie tego przykład: w lecie trzeba było wozić do szpitala wodę. Wziła brygadę 30 więźniów. Wysłano propozycje, aby tych więźniów skierować do kopalni, a na ich miejsce dać konia. Okazało się, że koń był droższy niż utrzymanie 30 więźniów, trzydziestka więźniów była tańsza niż jeden koń. To obrazuje stosunek do człowieka w tym kraju, "gdzie tak wolno dyszyt człowiek".

Anna Nikołajewna po pewnym czasie wyjechała do Moskwy. Na moje miejsce do księgowości przyszedł ~~przyszedł~~ zdemobilizowany kapitan NKWD. Mnie spakowano i znowu posłano do kopalni. W tym czasie nastąpiła reorganizacja obozu. Dostałem się do tzw. Berłagu - specjalne obozy Bieregowyje Bagiera, nadbrzeżnych łagrów. Tu był zupełnie inny reżim, dali inne numery.

5

Utrapieniem w obozach byli kryminaliści, którzy opanowali sytuację, terroryzowali politycznych, obejmowali wszystkie stanowiska funkcyjnych. Nic po prostu nie robili, żywili się kosztem politycznych, nawet jeśli byli w brygadzie, pracowali za nich polityczni. Przychodzili ci Błatni (urki) od czasu do czasu do szpitala i starali się w jakiś sposób, żeby ich dłużej trzymano, dawano lepsze wyżywienie itd. Lekarze, ci starsi, nie ulegali im i traktowali mniej przychylnie niż innych więźniów. Natomiast sanitariusze, szczególnie tacy jak ja, nie mogli zadzierać z urkami, bo wiedzieliśmy, że z chwilą, gdy dostaniemy się na roboty ogólne do kopalni, będziemy mieli z nimi do czynienia, a oni mogą nas wykończyć. Ja się z nimi specjalnie nie kontaktowałem, niemniej miałem w szpitalu możliwość zetknięcia się z nimi. Początkowo ten element bardzo mnie ciekawił: co to za urki, co za błatnyje? co to za świat? Kiedyś mi zaproponowali, żebym im dostarczył kofeiny. Nie miałem trudności z otrzymaniem

proszku kofeainowego, więc kilka razy im podrzuciłem, raz chyba mnie prosili o tran. Przyjęli mnie bardzo serdecznie, opowiadali o swych zwyczajach, prawach, co mogą, czego nie mogą, jaki to cały świat jest podły i jak na niego pluja. Mnie jako człowieka młodego to nawet w jakiś sposób zainteresowało. Nie wiedziałem, że przez niewielką przysługę zdobyłem sobie ich szacunek. W momencie, kiedy mnie wypisano do obozu na roboty, tak jak niegdyś w szpitalu sanitariusz w ranie, tak teraz w tym czwartym punkcie na portierni czekali urki. Jeden z nich spotkał się ze mną i powiedział, żebym się nie bał, nie przepadną, "my cię tutaj urządzimy, tylko przyjdzie Tola". Tola to był Anatoliusz Zukow, typowy bandyta z Moskwy mający na sumieniu 25 morderstw, ale wtedy nie było kary śmierci, więc dostał 25 lat. Potwornie wyglądał, ponura kwadratowa twarz, brwi zrośnięte, oczy czarne o zbójckim spojrzeniu. Przyszedł, próbował się uśmiechać i mówi: "Chodź ze mną do mojego baraku, tam cię umieszczą".

Kontakt z tym światem miałem przez Wołodę Szyszłowa, to był sympatyczny młody człowiek z Leningradu, syn nauczycielki. W obocie był na prawach błętnego, urki. Nie wiem, czy rzeczywiście był złodziejem, prawdopodobnie umiał się dostosować, żeby ratować życie. Ten chłopak bardzo mi pomógł, wprowadził mnie od razu we wszystko, przyjął do swojej brygady, powiedział, jak mam się zachowywać, żeby się urkom nie narażać, jakie tu panują prawa i że da mi lepszą, lekką robotę, <sup>dy</sup>be/niewalnym.

Kontakt ze złodziejami trwał do momentu, kiedy skończyły się wszystkie moje dodatkowe kufajki, jakieś lepsze walonki itd. Powoli oni to brali, wymieniali, pożyczali, sprzedawali - i to wszystko się skończyło.

Na czwartym <sup>(leg-)</sup> punkcie (?) naczelnikiem łagru był kapitan Gusiew. Był on w Berlinie, chodził z bródką i wąsem, surowy. Kiedyś na apelu mówił, że się musimy zachowywać kulturalnie i, pod adresem Rosjan, żeby brali przykład z "zapadników" (z zachodniej Ukrainy), którzy

ładnie zdejmują czapki, potrafię się zachować, "a wy jesteście tacy gburowaci, ja będę to łepik" itd. Chciał chyba przenieść na wschód zachodnią kulturę, z którą zetknął się w Berlinie.

Wiadomo było, że ja w tej brygadzie specjalnie się nie przepracowuję. Gusiew wydał wojnę urkom, a może już było takie polecenie, zaczęli ich bardzo prześladować. Któregoś dnia wzywa mnie do siebie i mówi, że wszystko wie o mnie, wie, że oni się mną opiekują, ale ta opieka może mi nie wyjść na korzyść, dlatego on proponuje, że jeśli potrzebuję czegoś, żebym się zwracał do niego, on mi pomoże. Powiedziałem mu wtedy dość butnie, że "żadnej pomocy od was nie ożydeju i nie żakaju". Więc wyrzucił mnie i rozmowa się na tym skończyła. Następnego dnia dowiedzieliśmy się, że idę pracować do kopalni, ale już nie w brygadzie Szyszłowa, tylko w brygadzie Gorlina. To już nie był złodziej, lecz normalny Rosjanin, były kapitan wojsk pogranicznych z granicy chińskiej. Bardzo przyjemny Paweł Gorlin, Paszka. Nie był on pewny, czy jestem urka, czy nie jestem. Zatrudnił mnie w kopalni na odwale. To był kopic, na który się wysypywało piasek wydobyty z kopalni. Był wagonek żelazny na linie wyciągany ("skip"), na szczycie trzeba było potwierdzić jego kleszenie i wysypać piasek, który się wysypywał na obie strony, zamknąć te kleszenie - i wagonka zjeżdżała na dół, do bunkra. Tam się ją napełniało i tak ta kolejka stale kursowała. Na tej górze praca była dość możliwa, gdy temperatura była ~~xxxx~~ 45-50 stopni. Gorzej, jak była purga (zanieczyszczenie) - wtedy to była straszna praca. Wyrzyłem sobie na szczycie w śniegu jamkę i do tej jamki wskakiwałem, żeby się ochronić przed wiatrem, ogrzać. Okropnie, strasznie marzłem. Przemarzałem, że coś okropnego.

To były dla mnie najcięższe lata. Już byłem uodporniony, ale znosiłem wtedy głód, wazy i wszelkie inne przekleństwa, które ciążyły nad "Maksymem Gorkim". Miałem z Paszką rozmowę i byłem zdziwiony, gdy mu wyjaśniłem, że nie jestem urkiem. Lecz kpt. Guziew do tej brygady posłał kilku urków, którzy (nie wiem, dlaczego) zaczęli mnie



Chcieli mnie z mojego stanowiska pracy wyrzucić itd., a pewnego dnia powiedzieli, rano w kopalni, że się ze mną rozliczą po obiedzie. Po obiedzie stał się cud, łaska Boża. Nagle przyjeżdża kapitan NKWD i wyczytuje wszystkich urków. Wywieśli ich. Cudem ocalałem. Nie było przecież gdzie szukać pomocy, byłem w brygadzie jedynym Polakiem, Ukraińcy byli znieczuleni, obojętni na los innych, tym bardziej mój Polaka. Wówczas Gorlin nareszcie uwierzył, że nie jestem urkiem. Wywieśli ich, ale Wołodis Szyszłow został, sreszta wysmy się przyjeżdżali, tylko nie mogłem być w jego brygadzie, bo Guziw się na to nie zgadzał. Byłem w brygadzie Gorlina i wszystko było w porządku.

Ale po pewnym czasie była jakaś reorganizacja, przenieśli mnie do brygady Biłki. Chyba Ukrainiec z Łytowierza, potworne postać. Człowiek, który gotów był zamordować współwięźnia, jeśli nie wykonywał normy. Był tak przejęty swoją rolą brygadzysty, że coś strasznego. Mieliśmy za to bardzo dobrego mistrza, kierownika kopalni, Połkę. Były więzień, Rosjanin, bardzo prymitywny człowiek, nauczył się podstawowych rzeczy z górnictwa i był majstran. Jak brygada Biłki przyszła do niego pracować, on nam przynosił codziennie dwa-trzy bochenki chleba za swoje pieniądze i w ten sposób karmił brygadę. I ta brygada stanęła na nogi i zaczęła pracować. Do tego charakter Biłki - i wypracowywaliśmy największą normę w obozie. Połkę zaczęli wogazecie opisywać, do Magadanu go wezwali, żeby się podzielił doświadczeniami we współzawodnictwie. Po powrocie pytam go: "Co powiedziałaś, Tonia". A on: "Co miałem powiedzieć - stanałem, pokazałem ręce i powiedziałem - rabotałhads, rabotał i jeszcze raz rabotał". Brawa mi bili. Kopalnia miała tak wysokie wyniki, że nawet przyjeżdżał przedstawiciel Komitetu Centralnego, po raz pierwszy z więźniami się spotkał i dziękował im za tak wysokie wyniki. Dostawaliśmy trzykrotne normy wyżywienia.

Wyżywienie mnie osobiście niewiele dawało, byłem niedospany, praca była strasznie ciężka. Z przemęczenia nie mogłem jeść.

Mieszkaliśmy w niedogrzanych barakach. W baraku były 3 brygady: Biełki, Szyszłowa, Łukowa. Pośrodku piecyk - beczka z rurą (żelazną), dym wychodził na zewnątrz. Pod oknem stał mały stolik i...nie wiem skąd ten Biełka go dostał - patefon. Miał jedną płytę, stale ją puszczał. Przychodziliśmy z pracy - grała. Była to aria cyganki z "Carmen". Do tej pory jak tę arię usłyszę, to staje mi od razu przed oczyma czarny barak z narami, wynędzniałe twarze ludzi w kachmanach i głodnych. I potworna ilość wszy. Sam miałem tyle wszy, że jak sięgnąłem pod pachę, to wyciągałem całą garść wszy, rzucałem je na piecyk, pękały. W tym baraku spało się na narach bez materaców w ten sposób: zapinałem kufajkę, zakładałem walonki i zawiazywałem czapkę na głowie, żeby mi w nocy kto nie ukradł. Często ta czapka przymarzała do ściany, bo ściana była oblodzona. Zimno, głód, zmęczenie - od pogudki. Wyjście do pracy (idąc drzewałem), Później, zanim weszliśmy do kopalni, był zryw i trzeba było, żeby gaz się ulotnił. Czekaliśmy parę minut w kompresorni. Więc jeszcze te 10-15 minut popasałem i byłem zadowolony, gdy gazu było dużo. Ale Biełka nam szybko tę radość psuł, wypędzając do kopalni. I tak codziennie w kółko.

Któregoś dnia przy wyjściu z obozu jeden brygadziśta, Gruzin z Kaukazu, wyszedł przed brygadę, klęknął, rozerwał sobie kufajkę na piersiach i powiedział: "Strzelajcie, Strielajcie, ja robotat nie pejdū! Mam tego dość i nie chce być więcej zwierzęciem!" Namawiano go, żeby wstał, nie wstał. Wtedy podszedł bajec, przepuścił mu (przez pierś) serię z automatu i zabił. Awantura. "Rozwód" był wstrząsany, przyjechali oficerowie, podobno był jakiś generał i powiedział na apelu tak: "My jesteśmy mądrzejši niż hitlerowcy. Oni was zbijali i palili w komorach. My was zabić nie będziemy, sami zdechniecie. A przedtem pomożecie nam wybudować wielkie strojki komunizmu." To są autentyczne słowa tego oficera. Poszliśmy potem do pracy jak codziennie, nie się nie poprawiło. W dalszym ciągu zewiecie, w nocy się

wychodziło, w nocy przychodziło. bo polarne noce, ciemność, mróz, brud, wszy, zubożenie. Byłem półprzytomny, żyłem od przypadku do przypadku (...) takimi etapami, żeby tylko przeskoczyć, żeby ~~przek~~ przejść, żeby minął ten czas. Nie interesowało mnie, co będzie za chwilę. Nawet chyba miałem jakąś amnezję, trudno mi było przypomniać sobie nazwiska kolegów, nauczycieli, zapomniałem imion członków rodziny.

Pamiętam jedno Boże Narodzenie. Zwykle we wszystkie święta się pracowało. Ale miałem kolegę, Feliksa Łukaszewicza (zmarł w ub. roku prawnik, radca prawny na kopalni). On był ze mną od 45 roku, całą tę drogę razem przeszedliśmy, z tym, że nie byliśmy w jednej brygadzie. Na to Boże Narodzenie dostał z domu paczkę. Jego siostra mieszkała w Jemielcu (?), została dla niego, przesłała tę paczkę. Jakąś kaszę gryczaną zgotował i przyszedł się podzielić ze mną tą kaszą i kawałkiem chleba - zamiast opłatka. Zjedliśmy tę kaszę, pół godziny posiedzieli - i to była cała uroczystość Bożego Narodzenia. To Boże Narodzenie zapamiętałem, bo przyszedł z tą kaszą. Inne święta mijszy nie zauważone.

Tak to wszystko przebiegało do 50 roku, do czerwca czy lipca. W 50 roku wezwali nas na etap i ja z Łukaszewiczem jechaliśmy jednym samochodem. Wywieźli nas z "Maksyma Gorkiego" (tam, w Berkagu zostało li tylko katorżnicy) do kopalni Dnieprowski. To była kopalnia cynku. Obóz miał inny charakter. Był jeden obóz, większy, wokół góry, w tych górach sztolnie. Już się nie zjeżdżało na dół, tylko ę po równym w głąb góry. Wydobywano kastelit. Dostałem się tam do brygady Gorlina, zaprzyjaźniliśmy się i zrobił mnie swoim zastępcą. Był już kimś bliskim dla mnie i ja dla niego, pracowaliśmy razem na "Maksymie Gorkim". Któregoś dnia dostał kilka śledzi, przyniósł do pracy. Kiedy brygada poszła wykonywać zadanie, brygadziście z zastępcą przy ognisku śledzie oczyścili, upiekli. Zjadłem i prawdopodobnie się zatrąłem, bo po paru dniach zachorowałem, dostałem ponos. Dostałem

zwolnienie i straciłem pracę u Gorlina. Któtko byłem w baraku nieważnym (Paszka mnie nim zrobił), więc znowu od rana do wieczora na nogach, trzeba było latać za wszystkim, za wszystko się odpowiadało.

Później mnie zrobili brygadzystą w brygadzie "gruszków" (?), to była fantastyczna brygada. 120 ludzi w różnym wieku i o różnej kondycji. Zadaniem naszym było przenoszenie różnych ciężarów, wyładunek i załadunek samochodów, czasem to były agregaty, maszyny górnicze bardzo ciężkie. Brygada niedługo miała żywot. Dostałem się do fabryki wzbogacającej cynk (kasterit). Praca już była lżejsza. Początkowo obsługiwałem jakąś maszynę, a później brygadzysta Izdebski (Ukrainiec ze Lwowa, żył z mi, 2 lata ode mnie starszy) pyta: "Czy chcesz pracować w kontroli technicznej? To jest lżejsza praca". Trzeba było pobierać próby co pewien czas, sortować te próby, przesiewać przez sito, pakować do paczek, odpowiednio oznakowywać i wysyłało się to do Moskwy, do Instytutu Geologii. Praca zupełnie lekka, byłem zadowolony. Potem zabrali mnie do kasy, kasy metali kolorowych. Przyjmowało się partie po trzy tony, wywozili to gdzieś na lotnisko. Pracował tam Andro, Gruzin, a naczelnikiem był zdemobilizowany kapitan NKWD, Azerbejdżanin, podobno z frontu. Naczelnik w porozumieniu z Gruzinem mieli odważnik magnetyczny, przejmując towar podkładali ten odważnik i uzyskiwali w ten sposób rezerwy, nadwyżki. Pewien Żyd prowadził skup, miał sklepik, gdzie górnicy mogli sprzedawać nadwyżki, za to dostawali cukier, masło, chleb, papierosy. Żyd też przynosił metal do nas i oddawał. Jak w kasie było parę kilogramów więcej, to naczelnik mu dopisywał. On za to przynosił naczelnikowi wódkę, a nam od czasu do czasu papierosy, cukier. Początkowo nie wiedziałem o tej aferze, nie wiedziałem, dlaczego kapitan jest taki łaskawy dla więźniów. Ale później mnie powiadomiono. Robił lewe interesy. Któregoś dnia przyłapali Gruzina, posadzili, naczelnika zdjęli, przyszedł inny. Przepracowałem jeszcze jakiś czas i też mnie zwolnili z tej kasy.

Dostałem przydział do brygady stolarzy, zacząłem się uczyć na stolarza. Miałem kolegę ze Lwowa, Bolcio Szlosbergera (zmarł w Rockawiu). Był to chłopak, który w czasie okupacji w AK podrabiał dokumenty dla podziemia. Bardzo zdolny, posiadał fantastyczne zdolności manualne. Umiał podrabiać pieczętki, robić różne rzeczy stolarskie i rzeźbić, mam zresztą papierośnicę przez niego zrobioną. Bolcio zaprzyjaźnił się ze mną i to on właśnie powiedział, że mi pomoże. "Chodź do mojej brygady do stolarni". - "Ale ja nie jestem stolarzem". - "Nie bój się, tam na nocnej zmianie jest taki Polak, Żołnierczyk, będziesz z nim pracował. To jest starszy pobożny pan i będzie ci dobrze". Brygadziwą był Litwin, nie wiedział, że nie jestem stolarzem. Bolcio mu powiedział, że pierwszorzędny stolarz ze mnie. A Bolek miał wielki autorytet u naczelnika stolarni, bo mu robił jakieś kredensiki, szafki, taboreciki, szkatułki, rzeźbił je i on miał Bolcio za wielkiego artystę. Naczelnik był Rosjaninem, wolał. Co by Bolcio nie powiedział, ten mu wierzył. I Bolcio go skłonił, żeby mi dał do Żołnierczyka, że jestem świetny stolarz. Żołnierczyk, pamiętam, uczył mnie strug trzymać, młotek trzymać - byłem bardzo mało pojętym uczniem. Początkowo nic mi się nie udawało. Stolarka mi nie odpowiadała, a Żołnierczyk miał do mnie pretensje: "Ty się zastanów, Beluś, św. Józef był stolarzem, cieśla, to jest zawód bardzo szlachetny i dobry kawałek chleba, nauczysz się, będziesz mieć dobry zawód!"

A ja myślałem tylko, żeby powrócić do fabryki. Jej naczelnikiem była Marusia (nie pamiętam nazwiska), która uważała, że jako pracownik kontroli technicznej i kasy byłem jednym z inteligentniejszych pracowników i wywiązywałem się z pracy bardzo dobrze. Ceniła mnie, więc robiła starania, żeby mnie z powrotem tam przenieść. Po pewnym czasie jej się to udało, znów poszedłem do pracy w fabryce (kopalni) i tam pracowałem już do końca, do zwolnienia w 1952 roku, kiedy zostałem zwolniony z obozu.

Międzyczasie na Dnieprowskim był taki przypadek. Był tam więzień, Rosjanin, brygadziasta (pracował w policji niemieckiej), który początkowo stale siedział w kacerze, nie chciał pracować. Któregoś dnia nagle mu się coś poprzestawiało w głowie, zaczął współwzięć bicia i poganiać do pracy. Zrobili go brygadziasta. Od tego czasu stał się potwornym typem, gorszy od kapa w obozie niemieckim. Potrafił na śmierć prawie tłuc więźnia za to, że źle pracował albo nie wykonywał normy. Któregoś dnia wracamy z pracy na nocnej zmianie. Mieszkałem w tym czasie w dużym baraku, dobrze zbudowanym z drewna, wysokim. Łóżka już miały materace, była pościel, jakieś koce. Mieszkały tam dwie brygady: ta, w której ja pracowałem i tego Rosjanina, Zoryna. W drodze z portierni do baraku dowiaduję się, młody chłopak, który znał tego brygadziastę z jakiegoś innego obozu i on mu bardzo dokużył, postanowił go zabić. Wszedł w nocy do baraku z piką żelazną, zbudził go i 17 takich pik w niego władował. Zoryn uciekał, a ten go gonił i kłuł piką. W połowie drogi do portierni zabił go. To był przykry przypadek. Temu Polakowi niewiele zrobili, bo miał 25 lat wyroku, więc dodali mu rok.

Pracując w tej fabryce poznałem m. in. Antoniego Rymaszę. Był to zastępca słynnego Łupaszkę. Rymaszę był swego czasu szefem ochrony generała Wilka, przedwojenny porucznik, działał na Wileńszczyźnie. Cały czas w partyzantce AK. Był pół-Finem, pół-Polakiem. Matka Finka ojciec Polak. Był bardzo prawy, bardzo szlachetny, bardzo porządny, a przy tym koleżeński, uroczy. Wspaniały człowiek. Myślny się z nim przyjaźnili, mile go wspominał. Do tej pory utrzymujemy kontakt. To jest już staruszek, niedawno widziałem się z nim w Gdańsku na zjeździe Łągierników, korespondujemy, znam jego żonę. Był jeszcze dziwny typ, Rosjanin, Karawajew, brygadziasta. Inżynier, który przed wojną żył w Rydze, przyszli Rosjanie, to go wywieźli i osadzili jako hitlerogwardzistę. Opowiadał różne historie: że zetknął się gdzieś z medycyną tybetańską, że jest anachorem, lekarzem, że potrafi przepowiedzieć czy kobieta urodzi chłopca czy dziewczynę. Jak kto słuszo będzie żył



chleborezu, później go zdjęli i pracował ze mną. Przejaliśmy się do końca.

W 1952 roku skończył mi się wyrok, zaliczyli mi dodatkowo dwa lata za pracę w kopalni, tak że w sumie siedziałem osiem i pół roku. Nas, grupę więźniów, wsadzono na samochód i pojechaliśmy do Jagodnej. Jechał ze mną na zwolnienie w tym dniu Ukrainiec, Adam Jarmolczuk, z którym pracowałem w szpitalu, też był sanitariuszem (jeszcze na "Maksymie Gorkim"). Zetknęliśmy się w 45 roku i raz przejeździliśmy się, raz byliśmy rozdzieleni - różnie bywało. To był banderowiec. Jeszcze w szpitalu, jak już sobie przyswoiłem język i zacząłem mówić po rosyjsku, któregoś dnia on do mnie z pretensjami, że nie mówię w j. ojczystym, tylko po rosyjsku. "W jakim języku?" - "Ukraińskim" - "Przecież to nie jest mój język ojczysty, jestem Polakiem". I tu jego zdziwienie: "Nigdy nie przypuszczałem, że będę z Polakiem jadł z jednej miski, będę się dzielił wszystkim i będziemy razem". Był banderowcem i należał na Wołynia do band, które Polaków prześladowały. Ale tam byliśmy przyjaciółmi. To z nim jechałem właśnie na zwolnienie. Byłem zadowolony, bo inni byli nieznanzi, on znajomy, trzymaliśmy się razem. Przyjechaliśmy w nocy do Ortokanu, tam wzięli do samochodu jeszcze kilka osób i jechaliśmy dalej do Jagodnej. Za moimi plecami siedział chłopak. Pomyślałem "Eż, jakiś Ukrainiec, nie będę zwracał uwagi. Okazało się, że to był żołnierz AK ze Lwowa (później jeden z moich przyjaciół), Jasio Steński. Obecnie mieszka w Zabrzu. Bardzo miły, dzielny, z tej samej 11 Dywizji Karpackiej, w której ja byłem w AK. Ale wtedy nie wiedziałem o tym.

Jakieś 10 km. przed Jagodną zepsuł się samochód. Miałem drewnianą walizkę, którą mi zrobił żołnierz, bo wypadało rodakowi, który idzie na wolność zrobić walizkę - i on ją zrobił. Dostałem w obozie 600 rubli, na sobie miałem jedną parę bielizny, jedno ciemne spodnie i kufajkę, ciemnowe, słabiutkie letnie buty i w walizce



jeden rącznik. Czapka na głowie - to był mój cały majątek, z którym wyszedłem z obozu.

Więc 10 km. przed Jagodnem samochód się zepsuł i enkawudzi-  
sta, który z nami jechał (już nie konwój), mówi: "No, *Arpocy*, jest  
zimno, co będziecie czekać! Kto chce, niech idzie pieszo prosto dro-  
gą do Jagodnej!" Wówczas poszliśmy w kilku (z Adamem) drogą. Tejga-  
nróz, ziemia już skuta, śnieżek, noc księżycowa, jasna noc i wysmy  
pośród tych gór białych szli tą drogą ku wolności. Przed samą Jago-  
dną dopędził nas naprawiony samochód, więc kilometr nas podwiózł.  
Przyjechaliśmy do urzędu NKWD - tam procedura zwolnienia. Prośli  
nas pojedynczo. Dwóch oficerów odczytywało nam akt zwolnienia z obo-  
zu. Ale przedtem zmuszono nas do podpisania papierka, dokumentu. Ze-  
pod groźbą - wszystko, co widzieliśmy i przeżyliśmy w obozie ma być  
całkowicie zachowane w tajemnicy do końca życia - pod groźbą 25 lat  
więzienia. NKWD jest potężne. Podpisaliśmy oczywiście ten dokument.  
Je traktowałem to jako formalność. Człowiek był wtedy tak oszołbion-  
ny szczęściem, że wychodzi na wolność. Było mu obojętne, co podpisy-  
wał, podpisywał, co mu dawali do podpisu.

Po zwolnieniu zaczął się tzw. targ niewolników. Wyprowadzili nas  
przed budynek zarządu i przyszli kupcy żywego towaru, tam dyrektorzy  
fabryk różnych wybiarsć i kupować byłych więźniów. Ja miałem szczę-  
ście (czy nieszczęście) - wybrał mnie dyrektor fabryki z Ortokanu  
(fabryka remontu sprzętu górniczego). Nie bardzo nas zachęcał, tylko  
podszedł, odliczył - "tych sabieram". Więc brygadziście nas na bok,  
papiery, samochód już czeka, na samochód - jedziemy już do Ortokanu.  
Przyjechaliśmy, zaprowadzili nas do baraku na noc. To był taki niby  
hotel robotniczy. Wpadając do Magadanu mieliśmy chwilę czasu, więc  
kupiliśmy z Adamem pół litra wódki. Trochę w-piliśmy, ja sobie pier-  
wazy raz trochę mocniej pociągnąłem, tak że z Jagodnej do Ortokanu  
jechałem nieprzytomny. Był mróz. Ale nie odczuwałem zima. Przyje-

chciałem trochę oszołomiony. I powiedzieli, żeby się przespać w tym baraku, a następnego dnia będziemy załatwiali formalności przyjęcia do pracy. Położyliśmy się z Adamem spać zwyczajem obozowym (materacy nie było), ubrani, jedną kufajkę położyliśmy pod spód, drugą się nakryliśmy i spaliśmy. 500 rubli włożyłem do prawej kieszeni, położyłem się na prawym boku i rękę trzymałem w prawej kieszeni. W pewnym momencie ktoś mnie budzi, czuję, że mi sięga do kieszeni. Przebudziłem się, patrzę: krzyk, awantura - napaść na nas kilku urków, którzy byli na wolności. Wobec tego, że przywieźli "nowych", którzy mają pewnie pieniądze, pomyśleli, że trzeba ich "oczyścić". Zaczeli przeszukiwać. Koło mnie siedział młody urka. Rosjanin i zaczął ze mną rozmawiać: "Słuchaj, nie chcę nic od ciebie, daj mi pół litra". To było 150 czy ileś tam rubli. Ja nie to pokazuję mu walizkę z jednym ręcznikiem i mówię, że nic więcej nie mam. "To ty taki biedny jesteś" - "Tak, widzisz, jestem bardzo biedny". Wstał i odszedł ode mnie. Wówczas wziąłem te 500 rubli i wsadziłem pod deskę, pod kółkiem. Stałem spokojnie, podchodzi drugi do mnie i zaczyna rewidować. Nie znalazł pieniędzy i zostawił mnie. Innym to i kufajki zabierali. Mówili, że są przedstawicielami władzy, że mają konia. Na dworzec rzeczywiście widziałem siwego konia, na którym przyjechali, był także hułany. Było ich czterech, więc po dwóch wsiadli na te konie i odjechali. Szczególnie poturbowali jednego Węgra, Bełę. Później myśmy się z nim przyjaźnili. Wrócił na Węgry i w 56 roku w czasie rozruchów wyjechał do Kanady. Był to syn jakiegoś fabrykanta, którego aresztowali i zastrzelili w Odessie. Zastrzelili również jego szwagra, został sam z siostrą, byli więźni. Do 56 roku korespondowałem z nim, później przestałem. Jego najbardziej poturbowali i okradli, zabrali mu wszystko. Na drugi dzień zrobił się alarm, przyszła milicja, dyrektor, my zaczęliśmy zgłaszać pretensje. W ciągu 2-3 godzin znaleźli tych złodziei. Konie ich zdradziły. To byli pracownicy sowchozu. w nocy wzięli konie

i przyjechali. To było moje pierwsze zetknięcie się z wolnością.

Później załatwialiśmy sprawę pracy. Poszedłem do dyrektora, nazywał się Wiatkin Wiktor Iwanowicz. Zobaczył mnie i powiedział: "Słuchaj synok, dobrze ci radzę, idź, ucz się na tokarza. To zawód popła-  
t.6 tny, będziesz zadowolony, kiedyś mi będziesz bardzo dziękował." Nie bardzo umiałem bronić swoich interesów czy czegoś dochodzić - wyraziłem zgodę. Zacząłem pracować w cechu, to był oddział remontów tokarek. Remontowano na tokarce DIF 200 - Dognat' i pierognat'. Dognat' i przeprowadzić system kapitalistyczny. Taka nazwa tej tokarki konstrukcji radzieckiej. Moim nauczycielem był młody człowiek, Rosjanin z Własowców, Iwan Jandulski. Nie bardzo mnie nauczył. Tak samo nie garnałem się do tego zawodu jak do stolarki. Więc trzy miesiące jak-  
koś odbyłem ten termin, zdałem egzamin nawet niekiedy i jako tokarz pracowałem niezbyt długo. Pracował tam tokarz, Rosjanin, Fiedie Sachno, również z Własowców. Zauważyłem, że praca na tokarni nie szła mi specjalnie. On pracował w kontroli technicznej i nie opłacało mu się to, ponieważ zarabiał mało, a na tokarce jako doskonały tokarz mógł zwiększyć zarobki czterokrotnie. Podszedł do mnie któregoś dnia i powiedział: "A gdybyśmy się tak zamienili? Ja pójdę na tokarkę, a ty na moje miejsce do kontroli technicznej". Wyraziłem zgodę, bo wówczas moje pobory zwiększały się dwa i pół raza. No i nie miałem akordu, nie musiałem się tak wysilać.

Z Fiedką Sachno mieszkałem w jednym baraku. To był dość dziwny człowiek, typowy Rosjanin, który mając pieniądze przechulał i przepił je w ciągu kilku dni i zostawał bez grosza. A pozostałe dni pozyczał, prawie na kaskawym chlebie do końca miesiąca ciągnął. Propozycję zamiany zrobił mi dlatego, ponieważ przed pierwszym ja widząc, że on nie ma co jeść, poprosiłem go do stołu żeby siadł i jadł jak jadłem swoje śniadanie. Podszedł również na kolację, następnego dnia też go poprosiłem, jakieś dwa dni go karmiłem. I za parę dni padła ta propozycja. Pierwszego przyszedł z pieniędzmi, wszystkie mi oddał

na przechowanie: "Ty umiesz się gospodarzyć, ja zaraz przepiję lub przegram w karty, schowaj pieniądze i nie oddawaj mi ich". Schowałem i mówię: "Od dziś będziemy razem prowadzić kuchnię". Poszliśmy od razu do sklepu, nakapiliśmy różnych produktów, chleba. On, jak się okazało, umiał gotować, co było mi bardzo na rękę, i przez pewien czas dzieliliśmy stół. Z tym że były różnice w stanie majątkowym: on dostawał 1200 rubli, a ja 350. Mogłem na wyżywienie dać 200, 250 rubli, on dawał 800. Powiedział, żebym brał i nie zwracał sobie głowy pieniędzami, wcale nie ma różnicy.

Sachno poszedł na tokarkę, ja na OTK i tam mi się zupełnie dobrze powodziło - zarobki większe, praca o wiele lżejsza. Pracowałem w tym OTK ciekawy młody człowiek, Zerkka Kukułenku Lebiedienko, syn radzieckiego pisarza Lebiedienki, którego za Stalina gdzieś zastali. przebywał za Uralem w więzieniu czy na zesłaniu. Syn jego chodził w Leningradzie na politechnikę, w czasie wojny został zmobilizowany. był lejtnantem i dostał się do niewoli niemieckiej. Całą Europę zjeździł jako własowiec czy coś takiego, dostał się potem na zesłanie. To był, jak na Rosjanina, chłopak o wybitnej kulturze, bardzo serdecznie mnie przyjął i zaprzyjaźniliśmy się. Wprowadzał mnie, pokazywał, jak pracować, jak przyjmować te detale, które tokarze dawali. Zresztą Fiedia Sachno również mi pokazywał. Był tam jeszcze specposelaniec Fiedia Nikołajenko, również życzliwie mnie przyjął. Nie robiko im różnicy, że jestem Polakiem, traktowali mnie jak kolege, kumpla, nie zdając sobie sprawy, że ja w ogóle jestem Polakiem - z Polski.

I tak na tym zesłaniu pracowałem jakieś trzy lata. Niedawno się robiłem staranie o wyjazd do Polski. Napisałem pierwsze pismo do Wierchownogo Sowietu czy ambasady i po pewnym czasie wezwano mnie do ~~ambasady~~ do OWIRU (oddział, gdzie załatwia się wizy i rejestrację). Pewien kapitan poprosił mnie do gabinetu i powiedział, że bym nie pisał żadnych podań, a tam bardziej do Wierchownogo Sowietu

ani do żadnych ambasad, moje miejsce jest na zesłaniu i powinienem być z tego zadowolony. A jeśli będę próbował jeszcze raz pisać, to on mnie wsadzi do więzienia. Było to dość groźne, ale się nie zlek-  
łem, przyjechałem z Magadanu (jakiś 600km od Ortokanu) i zaraz po przyjeździe napisałem kolejne pismo-podanie. Pisałem do ambasady, do do Wierchownogo Sowietu, do stowarzyszenia radzieckich jurystów, którym prosiłem o pomoc. Ale nic nie pomagało. Z rodzicami już korespondowałem, mieszkali w Łodzi. Przesłali mi z Polski "wyzew" po rosyjsku i po polsku. Jeden egzemplarz złożyłem w miejscowym NKWD z prośbą o repatriację - przyjęli, już nie grozili i powiedzieli: "Dobrze, poczekamy". Tak to trwało. Zwlekali, nikt nie mógł kontra-  
tnie powiedzieć, nikt nie wiedział.

W 55 roku mieszkałem w niezłych zupełnie warunkach. Szef kontroli technicznej, niejski Piotr Fligontiewicz Zykin wynajął mi jeden pokój. Był to uczestnik rewolucji październikowej w Swierdłowsku, był później pułkownikiem w wojsku, dyrektorem "ucz-kombinatu" tzn. szkoły obejmującej klasy podstawowe i technikum, kształcącej w szybkim tempie kadry techniczne dla przemysłu. Ale w 37 roku nie ustrzegł się czystki w partii i został skazany na 5 lat. Odsiedział 5 lat, dali mu do podpisania dokument, że posiedzi do końca wojny, wojna się skończyła, kolejny dokument: do tzw specjalnego rozporządzenia. I siedział w sumie chyba 12 lat. Później pracował w tym zakładzie jako inżynier, był działaczem związków zawodowych i został szefem kontroli technicznej. Po śmierci Stalina zrehabilitowany, przywrócony do partii. Bardzo to przeżywał. A żona jego, Nina Siemionowna, siedziała za polską sprawą. To była Rosjanka, której brat ożenił się z Polką mieszkającą na Ukrainie. Teść brata, Polak, miał brata w Polsce i korespondował z nim. W 37 roku, gdy była nagonka na Polaków, posadzili teścia za to, że korespondował z bratem, posadzili jego brata, jego żonę - w końcu doszli do Niny Zykiniej (Skułkina, po mężu Zykin), dali jej 10 lat - tworząc w ten sposób grupę szpiegowską polską.

Z tej grupy siedziało 5 czy 6 osób i, jak ona opowiadała, prawie wszyscy zginęli w obozach, ona jedna została. Parę lat po wyjściu wyszła za mąż za Zykina i razem mieszkali. Wita kobieta, średnio inteligentna, pracowała w zakładach metalurgicznych w mieście Stalino w kadrach. Nie mieli dzieci, mieli duże mieszkanie, wynajeli mi jeden pokój, bo się bali, że jak wychodzą do pracy to ich może ktoś określić. Ja pracowałem przeważnie na nocną zmianę, więc byłem w dzień w domu. Nic nie brali za mieszkanie, a ja miałem bardzo przyzwoite warunki, raczej domowe.

Kiedyś rozmawialiśmy z Zykinem (wydarzenie związane ze śmiercią Stalina, XX zjazdem partii). I on mówi: "Słuchaj, Feliks, ja jestem dość zamożny człowiek. I wszystko bym oddał za to, żeby zobaczyć czy ten rzeczywiście jest taka nędza, czy ludzie żyją inaczej. Już nie chcę na Zachód, ale do Polski, Czechosłowacji". Byłem zdziwiony, mówię mu, że jest inaczej, nie bardzo mi wierzył. Mówił, że przecież przez całe życie mówiono mu, że tam tylko burżuazja żyje dobrze, a reszta jest gnębiona. Ostatnio mu się to w głowie nie mieściło, więc chciał zobaczyć. Był również przerażony wynikami XX zjazdu. Któregoś dnia siedzi, trzyma się rękami za głowę, oparty o biurko, zamysłony. "Piotrze Iwanowiczu, co się stało?". A on mówi: "Widzisz, co się stało ze Stalinem?" - "No cóż, zbrodniarz!" - "Tak, ale ja przecież całe życie wierzyłem, że to jest bóg, coś nieskazitelnego, postać święta - a w tej chwili rzucili ten posąg i cała moja filozofia, cała moja wiara została zburzona. Nie wiem, w co mam teraz wierzyć, co jest prawdą!" .Rozumiałem tego człowieka, to była wielka rozpacz. W świecie, który przychodził, nie mógł znaleźć miejsca. Był przyzwyczajony do teorii, że terror jest w jakimś sensie usprawiedliwiony w walce z kontrrewolucją. A to, że jego spotkało nieszczęście? - Prawdopodobnie uważał, że nie był do końca uczciwy wobec Stalina, dlatego go to spotkało.

Rozmawiałem z nim o swoim wyjeździe. Powiedział tak: "Słuchaj (pokazał na dłoń), tu mi włos wyrosnie, jak ty wyjedziesz do Polski!" - "Dlaczego?" - "Przecież jesteś poważny człowiek! Czy ty, który widzisz wszystko, co tu się dzieje, wyobrażasz sobie, że wyjedziesz za granicę? I opowiesz tam wszystko? Nie bądź nierozsądny. To są wszystkie obietnice, ciebie w ogóle nigdzie nie wypuszczą. I zastanów się, jak będziesz żył. Lepiej się czeń, a nie zajmuj się wyjazdem".

Wkrótce potem wróciłem z nocnej zmiany do domu, spałem. Przed południem przyszedł do mnie kolega, Jasiak Stański ze Lwowa i mówi: "Słuchaj, ty nic nie wiesz? Idź do kadr, waź rozliczenie, jedziemy do Polski!" Poszedłem do kadr. Mina Siemionowna pracowała w kadrach, była w domu i nic mi o tym nie powiedziała. W tym dniu oni w ogóle przestali się do mnie odzywać, jakoś dziwnie się zachowywali. Początkowo nie rozumiałem, o co chodzi, dopiero później się zorientowałem. Oni byli strasznie przerażeni tym, że ja wyjeżdżam do Polski, że mieli ze mną kontakt, że znova tu się trafił Polak, z powodu którego mogą mieć nieprzyjemności. Po kto wie, co ten Polak narozrabia za granicą? Okaże się wielkim wrogiem i dopiero zaczną ich tutaj prześladować!

Trwało to jeden dzień. Następnego dnia wyjeżdżałem, pożegnałem się. Z p. Mieczysławem Weksmanem (z Delegatury Rządu ze Lwowa, mianowany wojewodą stanisławowskim. Ze mną siedział, ale byliśmy razem na zesłaniu w Ortokanie) jechaliśmy okazajnym samochodem do Węgier. I pamiętam, wsiedliśmy do ciężarówki do szoferki późnym popołudniem, już był śnieg, październik - tam już normalna zima. Kierowca Rosjenu bardzo wesoły, rozmawiał, żartował. I jechaliśmy przez te Kołycę, ostatni raz patrząc na nią. Padał śnieg. W pewnym momencie przed jakimiś górami nagle kierowca musiał stanać, bo przepędzili przez drogę stado reniferów. I to stado jak morze oboczyło nas. samochód stał, a renifery sunęły na tle białego śniegu w kierunku gór. Ruszyliśmy dalej. Po drodze jeszcze kierowca zabił wilka, wilczyce,

prawdopodobnie z Alaski, duży okaz. Wpadła w światła reflektora i uderzyła w samochód.

Nad ranem przyjechaliśmy do Magadanu. Tam już nie meldowałem się w tych barakach, tylko poszedłem pod znany mi adres Wacka Kopisto (Kapisty<sup>2</sup>). Cichociemny, kapitan z "Wachlarza", przyjaciel "Ponurego", jeden z tych, którzy w Pińsku robili napad na więzienie, odbił wówczas p. Paczkowskiego, "Wanię". Obecnie mieszka w Rzeszowie. Wacek ożenił się już z Aliną, mieszkał w Magadanie. Mieli co prawda bardzo skromne mieszkanie, ale zorganizowali Polakom kwatery w jakichś mieszkaniach prywatnych, nie musieli już spać w barakach. Nie byliśmy już narażeni na grabież kryminalistów i różnych rosyjskich przestępców, a było ich mnóstwo, nie stykaliśmy się z brutalnością. Trzeba było pójść do kaźni, załatwić "san-obrabotki" tzn. zaświadczenie. Dostaliśmy odpowiednie dokumenty i bilet na okręt "Feliks Dzierżyński".

Idąc w Magadanie centralną ulicą (byłem już przebrany, w kapeluszu, płaszczu eleganckim, w krawacie) - patrzę - naprzeciw idzie w walonkach, w roboczym ubraniu, w czapce uszance Witka Filipowaki. Byłem z nim na "Maksymie Gorkim". Również zwolniony. Jechał do Zdużbonowa. Uściaskaliśmy się, pyta, co ja tu robię. Mówię, że jadę do Polski. Jak to, zdziwił się. Przecież on też zwolniony (był ukaz Stalina) i w ogóle nie wie, że Polacy wyjeżdżają, że można wyjechać. Wziąłem od niego adres w Zdużbonowie i przyrzekłem, że będę mu pomagał. Poszliśmy do restauracji. Dla niego to było szokujące. Elegancko urządzone restauracja, stół nakryty białym obrusem, dywany, palmy, kelnerzy - a on w prawie obozowym ubraniu. Niezręczna sytuacja. Kelner patrzy na niego, zorientował się na pewno od razu, że to ktoś, kto wyszedł z obozu. Na mnie większej uwagi nie zwrcał, ja byłem już już ubrany prawie po europejsku. Jednak nie robił różnic, podał cośmy zamówili. Wypiliśmy coś, ugościłem Witka i poszedł do baraku. Przekazałem mu wtenczas sporo gazet, książek polskich, których od 12 lat



12 lat nie widział. Spotykaliśmy się dwa czy trzy razy, połączaliśmy się.

O wyznaczonej godzinie poszedłem do portu. Zebrała się tam grupa Polaków. Cała grupa (wyjeżdżających) liczyła ok. 500 osób. Wszyscy na ten jeden transport z Kołomyi. Pozostali wracali już chyba pojedynczo, chyba drugiego transportu nie było. Kto był w tym transporcie: byli ze Lwowa i z Wilna, z Kresów i z centralnej Polski, byli przeważnie żołnierze AK, byli oficerowie, byli też Polacy nie związani z Ruchem Oporu - w jakiś inny sposób "zdobyli" wyrok. Wiedzą imy był Wacek Kapisty, był adiutant gen. Wilka (nie pamiętam nazwiska), była Janka Wojnicka, łączniczka Rst....., Władek Cygan z żoną, Jaśko Steński, mój kolega (my dwaj byliśmy chyba najmłodsi), był Olek Szubowski, przed wojną porucznik, chyba z Lidy czy z Wilna, był Mieczko Waksman, wojewoda stanisławowski, Zbyszek Romaniewicz z Drohobycza z którym byłem w jednej organizacji, był mój kolega z tej samej sprawy, Zenek Szandrowski. Ale Zbyszek Romaniewicz i Szandrowski jechali w towarzystwie żon - Rosjerek. Nie było to mile widziane przez Polaków. Raczej dyskryminowali ich. Byłem właściwie łącznikiem między Szandrowskim a całą grupą, bo nikt się do niego nie odzywał, nie rozmawiał z nim. Próbowano nawet do mnie mieć pretensje, ale powiedziałem, że trudno, ale to jest mój kolega z ławy szkolnej i nie mogę go w ten sposób dyskryminować. Nie pochwalałem małżeństwa, bo jego żoną była była żona jakiegoś kapitana NKWD, z córeczką tego kapitana. Zresztą mieszkają w Polsce, w Nowej Hucie. Zenek już nie żyje, żona i dzieci żyją, są prawie Polakami, nie poczują się prawie do tego, że są z Rosji. Zbyszek Romaniewicz też miał żonę Rosjankę i też był trochę dyskryminowany. W tej chwili mieszka we Wrocławiu, żona zmarła, ożenił się po raz drugi, jest zadowolony, udziela się trochę w zjazdach akowskich, Drohobyczan.

Gdy wypłynęliśmy "Feliksem Dzierżyńskim" był chyba koniec października, początek listopada 1955 roku. Sytuacja była taka: w

mieście była zima: mróz i śnieg. Natomiast port był położony znacznie niżej od miasta, była w nim odwilż. Nie było śniegu, tylko woda. Myśmy przyszli w walonkach, walenki napiły się wody - były potwornie ciężkie. Nie mogłem ich zdjąć, bo cały czas nas sprawdzali i żądali na ten statek, musiałem w tych walonkach, z bagażami, pójść aż na pokład. Z chwilą, kiedy już zakwaterowaliśmy się w kajucie, pierwszą moją czynnością było zdjąć walenki, ubrać półbuty. Jak statek ruszył, wrzuciliśmy je do morza. Ku wielkiemu zmartwieniu mojego ojca, który oczekiwał, że ja te walenki przywiezę, że będzie mógł je widzieć.

Ale jeszcze wrócę do 47 roku. Są takie momenty, które warto przypomnieć, a zapomniałem. W 47 roku pracowałem jako księgowy w szpitalu. Któregoś dnia spałem, nad ranem budzi mnie starszy sierżant Riabow, nie mógł się debudzić. To było w lecie, koniec czerwca, ładna pogoda. W końcu debudził mnie: "Ubieraj się i przychodź na wachtę, na pertiernię". Ubrałem się, nie wiem o co chodzi, ale spytałem chłopaka dyżurnego. "Nie wiem, co się stało, całą noc tutaj biegało NKWD wszystko sprawdzali i sprawdzali, całą noc. Coś się musiało wydarzyć wielkiego". Poszedłem na pertiernię. Riabow wręcza mi kopertę i mówi: "Tę kopertę zanieś naczelnikowi OZPA, Czubaczenko i natychmiast wracaj." Oczywiście szedłem bez konwoja jakieś półtora kilometra drogą między jednym obozem a drugim. Mijając szpital spotykam lekarkę (wolna, Żydówka z Odessy, pracowała jako lekarz - etatowy pracownik NKWD). Zatrzymuje się i pyta, kto mnie wypuścił. "Starszy sierżant dał mi tę kopertę, żeby ją zaniósł." - "Ach tak? To idź, ale szybko wracaj". Byłem zdziwiony. Po kilku krokach patrzę - w trawie stoi karabin maszynowy, swóich żołnierzy, nastawiony na szpital, na obóz. Przeszedłem obok karabinu, doszedłem do OZPA. A tam rejwach, zamieszanie nie z tej ziemi. Prawie nikt na mnie nie zwraca uwagi z tych enkawudzistów, żołnierzy itp. Meldunki, przejmowanie, w końcu wszedłem do gabinetu naczelnika. Był zdziwiony, oddał mi kopertę. On

mnie znał, często chodziłem bez konwoja i~~ch~~ chodziłem na jego odpowiedzialność. Miałem dobre układy z Anną Szabanową, dyrektorką szpitala i z Dołgorukim i za ich rekomendacją miałem możliwości na jego odpowiedzialność wychodzić bez konwoja. Zresztą i tak nie było gdzie uciekać, to było niemożliwe. Oddałem mu ten pakiet, a on pyta, czy wszystko w porządku. "Wracaj do obozu i powiedz starszemu sierżantowi, żeby cię nigdzie nie wypuszczał". Wróciłem, powtórzyłem to Riabowowi. "Żadno". Wtenczas się dowiedziałem, że na trzecim czy czwartym łączunkcie grupa więźniów w nocy zrobiła napad na straż i zbiegła. Było ich 8 czy 10. Organizatorem tego był Tonkorogin, starszy sierżant z M<sub>o</sub>skwy. W skład grupy wchodziło dwóch oficerów, lejtnantów lotnictwa, jeden lejtnant marynarki, jeden chyba czołgista, kapitan, i trzech czy czterech Ukraińców, banderowców, m. in. Kluka z okolic Drohobycza, który był w oddziałach SB, banderowskiego UB. Taki odważny kozak banderowski. Parę miesięcy przed tą ucieczką pracował też jako sanitariusz w szpitalu. Z 46 na 47-my miałem wodę w boku, leżałem na internie, chorowałem. Kluka często przychodził do mnie wieczorem, siadał na łóżku i opowiadał mi wydarzenia swojej wojenne z walk banderowców. Jak walczyli o samostiejną Ukrainę, jak mordowali (mówił oczywiście o Niemcach), między innymi opowiadał mi dokładnie, jak zamordowali szefa bandinstytutu w Drohobyczu, Niemca znieprawionego przez tych chłopaków. Któregoś dnia temu gestapowcowi zaproponowali przejażdżkę za miasto na rybki, on się zgodził. Przyjechała furmanka, wywieźli go podstępem za miasto, tam go związali, wywlekli do lasu i zabili. Jednym z wykonawców tego wyroku był Kluka. Chociaż wiedział że jestem Polak, był mi życzliwy, przynosił dodatkową herbatę, chleb, specjalne posiłki, choć ja wtedy niewiele mu mogłem wzamian dać. Potem go wypisali, poszedł na trzeci łączpunkt. Wspominam go, bo miałem możliwość go rozpoznawać, jak został zabity. Miał dolną szczękę oderwaną (strzelali kulkami dum-dum), trudny był do rozpoznania, ale

znałem bardzo dobrze jego głowę, znaki szczególne, więc określiłem go. Tonkonogin był na trzecim łagpunkcie fryzjerem, miał zaufanie wśród enkawudzystów, wychodził też bez konwoju, chodził ich golić do koszar. Uważali go za swojego. Tego dnia z siekierą wyszedł przez portiernię, wszedł do niej od tyłu, uderzył dyżurnego strażnika siekierą w głowę i zabił. I tak zdobył pierwszy pistolet. Następni przyskoczyli, skoczyli do koszar, zdobyli tam karabin maszynowy, karabiny, pistolety. Opowiadano potem, że enkawudziści w bieliźnie uciekali przez okna po krzakach, a tamci strzelali. Bardzo wielu ich zastrzelili, także tych na wieżyczkach, zrobili "porządek", wzięli jeszcze jakieś zapasy żywności i poszli w tajgę. Ten ruch rano oznaczał zorganizowany pościg. Dowodził pościgiem kpt. Czumaczenko, to było na jego terenie. Ale nie bardzo dawał rady, ponieważ musieli ściągnąć tzw. Kołympołk, pułk kołymski. Dopiero po kilku tygodniach przywieźli kilku (pięciu) zabitych i tych zabitych rzucili przed wejściem do obozu. Przy wyjściu więźniów do pracy pokazywali: "Tak wszyscy będziecie zabici, jeśli ktokolwiek odważy się uciekać. Wszystkich dogonimy, złapiemy i będziemy bezmiłosierdzie strzelać". Zabici byli rozebrani - to był ponury widok. Obwieźli ciała po wszystkich obozach i później przywieźli do kostnicy do szpitala. W kostnicy ja i inni, którzy mogli coś powiedzieć na ten temat, rozpoznawali: to był Tertyczny, a to Kluka. Zapamiętałem tylko dwa nazwiska, ale było ich więcej. Z tym, że w tej grupie nie było ani jednego Polaka, byli Rosjanie i Ukraińcy. Krążyły słuchy, że zbiegowie zabili kilkudziesięciu żołnierzy NKWD. Pięciu czy ośmiu ze zbiegów zabili, a trzech czy czterech jeszcze raz sądzili, bo złapali ich w Magadanie, mieście, więc nie mogli ich strzelać, tylko wzięli. Zwykle nie brali do niewoli tych, co się poddawali, tylko strzelali. Wyroki były śmieszne, bo każdy z nich miał i tak 25 lat, odsiedział dwa, kary śmierci nie było, więc dodali dwa lata nowego wyroku i w dalszym ciągu miał taki 25 lat.

Był to wielki wstrząs. Od tego czasu zaostrzyła się dyscyplina, reżim, wzmocniono ochronę. Przez pewien okres więźniowie dotkliwie odczuwali tę ucieczkę. Poza tą większą ucieczką pamiętam jeszcze, że na Dnieprowskim był pułkownik radziecki, więzień, który podobno dwa czy trzy razy uciekał. W każdym razie jak uciekł ostatni raz to go już nie złapali. Dwa razy złapali go przy wsiadaniu na statek w Magadan. A trzecim razem nie wiadomo, co się z nim stało, w każdym razie do obozu już nie wrócił.

Powracam do podróży okrętem. Jechaliśmy z Magadanu do Władystoka prawie osiem dni. Morzem Ochockim, przez cieśninę La Perouse'a między Sachalinem a Hokkaido i znowu do Buchty-Nachodki, tam skąd wyruszaliśmy. Tam już były podstawione wagony, ale już nie towarowe, tylko osobowe, zupełnie inne warunki. Jeśli chodzi o statek, to ja znosiłem podróż bardzo ciężko, miałem chorobę morską. Na morzu Ochockim spotkała nas burza, szterm - 9 stopni Beauforta. "Feliks Dzierżyński" to był okręt bardzo stary (dawniej nazywał się Adolf Hitler) gdzieś przeciekał, wobec tego kapitan nadał SOS. Myśmy nie wiedzieli, że jest zagrożenie. Tylko chciałem z Janką Wojnicką z budki telegrafisty nadać telegram do Polski, i w tym dniu telegrafista telegramu nie przyjął. Powiedział, że nie może. Ukazało się, że w tym czasie nadawał SOS. Później pojawiły się dwa statki na horyzoncie, zaczęli te cherągiweczki zmieniać, jakaś wymiana kodów (?) między tymi statkami. Były to statki japońskie, które chciały nas holować do któregoś z portów Japonii. Kapitan się nie zgodził, burza już ustała, płynęliśmy dalej, a mimo wszystko te statki nas konwojowały, odprowadziły do wód terytorialnych Zw. Radzieckiego. Szczęśliwie dopłynęliśmy do tej Nachodki, wsiedliśmy do pociągu i stamtąd chyba dwa dni jechaliśmy do Chabarowska. Gdzie jechaliśmy? Wiedzieliśmy, że do Polski, ale którądy, w jaki sposób, co z nami będzie, nic nie wiedzieliśmy. Nie informowano nas. Kazali wsiąść do wagonu, więc wsiedliśmy. ~~Ki~~ Pociąg ruszył, więc jechaliśmy.

Przyjeżdżamy do Chabarowska pod wieczór. Patrzymy: dworzec jest zupełnie wyludniony. Nie ma nikogo, tylko masa enkawudzistów, oficerów i żołnierzy. I tu nas obleciał kolejny strach (Prawdopodobnie znowu nas chcą wsadzić do jakiegoś obozu). Zdziwiliśmy się, jak się okazało, że to wcale nie to. Kazali nam wysiąść, myśmy się jakoś grupami podzielili, wysiadamy i stoimy. W mojej grupie jechał Cygan z żoną Marysią, ona była w ciąży, dość widocznej. W pewnym momencie podchodzi pułkownik NKWD, salutuje i wygłasza te słowa! "Madame, wy bieremienna, pozwolite, samochód czeka. Gdzie mąż?" Posadzili ich do samochodu (Wołga) i odjechali. Nie wiedzieliśmy, gdzie. A nam powiedzieli: "Kobity z dziećmi i kobiety w ciąży samochodami ~~autobusowymi~~ osobowymi, natomiast pozostali, mężczyźni i samotni - autokary są podstawione. Ja, Stański, Miecio Waksman, stymy na peronie, czekamy, kiedy nam każą iść do tych autobusów (bo to się odbywało w pewnym porządku). Chodziliśmy po pustym peronie, ale zauważyliśmy, że na drugim końcu są milicjanci i ludzie. Niby spacerując, podeszliśmy do tych milicjantów z Jaśkiem Stańskim, nie ruszali nas, więc przeszliśmy do Resjan. A tam normalny ruch, ludzie wsiadali i wysiadali z pociągów. Kilka razy przechodziliśmy między milicjantami i ani jeden nas nie zaczepił. W pewnym momencie jeden sierżant, człowiek starszy wiekiem, podszedł do nas, zasalutował: "Towarzysze, powiedzcie, kto wy jesteście?" - "Jesteśmy Polakami". Patrzymy w tej chwili, a za nami stoi major NKWD i mówi: "Starszyna, w czym dzieło?" Więc ten zasalutował i odwrócił się. A major do nas: "O co on was pytał?". Mówimy, że pytał, kim jesteście. A on: "Wiecie co, wy nie macie obowiązku mówić milicjantowi, kim jesteście. To nie jego sprawa. On ma pilnować, a nie z wami prowadzić dyskusje. Możecie mu nie odpowiadać na pytania". Byliśmy trochę zmieszani, poszliśmy do swoich rzeczy i wkrótce kazali nam wychodzić do autobusu. Miałem kilka bagaży, dość byłem obciążony. Miałem jakieś rzeczy (radio kupiłem w Chabarowsku), żywność, bo to nie wiadomo było, gdzie jedziemy. Niosę - podchodzi do mnie z tyłu żołnierz NKWD i bierz

bierze walizki. Ja się z nim szarpałem, nie chciałem mu dać (może chce kraść?), ale podchodzi znów ten sam major i mówi: "Nie bójcie się, on wam pomoże zanieść te walizki do autobusu". Szedłem, a dwóch żołnierzy te walizki za mną niosło. Byłem bardzo zdziwiony. Wsiadliśmy do autobusu, jeszcze nie byliśmy pewni, czy nie jedziemy do obozu. Jedziemy różnymi ulicami, te ciemnie, te bardziej oświetlone, oglądaliśmy to miasto jakies dziwne i nagle wjeżdżamy na centralną ulicę. Autokar zatrzymał się przed dużym budynkiem, każą nam wysiadać i proszą do hotelu. Był to Prospekt Karola Marksa, Hotel Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Przy wejściu żołnierz z karabinem. Weszliśmy. Zaczęli nas lokować po pokojach. Małżeństwa w pokojach dwuosobowych, kawalerów i panny oddzielnie. Było tam kilku pułkowników, majorów - zaczęli pytać, czy ma ktoś jakieś życzenia, czy są skargi. A na "Feliksie Dzierżyńskim" jechało jedno małżeństwo, ona była w ciąży i urodziła się chłopak. Nazwaliśmy oczywiście tego chłopca Feluś (bo to był "Feliks Dzierżyński"). Chłopak się urodził w warunkach bardzo prymitywnych. Naszych trzech lekarzy było przy tym porodzie, radziecki lekarz okrętowy, ale nie znał się na ginekologii, była jeszcze jakaś położna czy pielęgniarka, więc całą wyprawkę naszykowały panie. Chłopak był zadbany, w kajucie-lazarecie matka rodziła, jeszcze parę dni tam leżała. I mały na tym okręcie dostał rozwolnienia. Nie za dobrze się czuł. Więc powiedzieliśmy że dziecko jest chore. Momentalnie rzucili się do telefonu i w przeciągu kilku minut przyjechały trzy karetki pogotowia. Jedna NKWD, jedna kolejowa i jedna miejska. Zabrali od razu ją, męża i dziecko do szpitala i nad dzieckiem roztoczyli opiekę.

Trzymali nas w Chabarowsku chyba 10-11 dni. Co myśmy robili? Nic. Karmili nas, musieliśmy wychodzić na spacer, chodziliśmy po mieście, robiliśmy zakupy, jak ktoś miał pieniądze. Natomiast jak ktoś był bezpośrednio z obozu i był źle ubrany - to go ubierali. Dawali pieniądze lub kupowali odzież. Przystroili płaszcze, garnitury itd.

W helu hotelu dysur pełnili oficerowie. Jak ktoś miał jakieś życzenie albo skargi, przychodził do tego oficera. Któregoś dnia wracamy z miasta, widzieliśmy afisze, grali "Moralność pani Dulskiej". Przyszliśmy porozmawiać z tym oficerem, mówię, że szkoda, że już nie grają. "Chcielibyście zobaczyć". Na drugi dzień wychodzimy na miasto, a tu afisz: Na żądanie publiczności przedłużamy występy o dwa dni. Oficer się uśmiecha, mówi: "Chcecie, możemy wam załatwić". I rzeczywiście kupiliśmy bilety i byli całą polską grupą w teatrze. Wyróżnialiśmy się, w ciemnych garniturach, białych koszulach, w klapach białe-czerwone wstążeczki, panie nam porobiły - więc tworzyliśmy grupę rzucającą się w oczy.

Przychodził też co pewien czas ktoś z OBkoma Partii czy z NKWD, jakiś lektor, który uświadamiał nas, że Polacy i Rosjanie to są Słowianie, to są przyjaciele. Różnie to bywa, jak w rodzinie (słowiańskiej), czasem się pokłóca, czasem się pobija, ale w końcu się przeproszą i nie mają do siebie żalu. W tym stylu mniej więcej były te ich prelekcje. Z tym, że myśmy mieli przebaczać, a oni nie poczuli się do żadnych win. Co by nie mówić, myśmy byli winni temu, że byliśmy Akowcami i Polakami.

Nikt nam przez cały czas w Chabarowsku nie mógł powiedzieć, kiedy pojedziemy i gdzie i jak pojedziemy. Cały czas nas zbywane: przyjdzie zawiadomienie, pojedziecie. Już niedługo pojedziecie. To była taka kwarantanna, coś takiego. Chociaż choroby i leczeni tam nie byliśmy. Między dyżurującymi oficerami był młody lejtnant, ja chodziłem w kapeluszu. Kiedyś mnie zatrzymał: "Wiesz, ja też mam w domu kapelusz, tylko nie baedze mogę go ułożyć tak, żeby wyglądał dobrze." - "Przynies, nastawię ci fason". Następnego dnia przyniósł ten kapelusz, jakoś mu go ułożyłem, założył na głowę, był bardzo zadowolony. Nawet krawat mu zawiązałem, bo nie umiał wiązać krawatu i rozgadał się. Pracował w NKWD, studiował zaocznie prawo, był parę razy w Nowosybirsku, Władwesteku, mówił, że "dalej Chabarowska nie wyjeżdżał".



Zapytałem go, czy by nie chciał jechać z nami pojechać do Polski. Chciałby, ale to jest niemożliwe. Na to ja, że spróbujemy. Więc kolejna wizyta dygnitarzy z NKWD, rozmowa, jakie są pytania? Wystąpiłem ja z propozycją, że "my chcielibyśmy, żeby lejtnant taki i taki pojechał z nami w transporcie". Konsternacja: "Dlaczego?" Mówię, że jest bardzo kulturalny, rzeczowy, że zaprzyjaźnił się z nami. "A, jak taka sytuacja, to my nie mamy nic przeciwko temu." I rzeczywiście - za dziesięć dni wyjeżdżamy, patrzymy - lejtnant ten jedzie razem z nami. Z Chabarowska wagony były jeszcze bardziej luksusowe, pulnany.

Grupa jadąca z Magadanu do Chabarowska, te 500 osób, te nie byli sami Polacy. Byli tam i Niemcy, i Koreańczycy, Rumuni i Węgrzy, chyba Czesi, najwięcej było Polaków. Było też sporo Żydów. Natomiast w Chabarowsku już nas podzielili, oddzielili Rumunów, Węgrów itd, Niemcy byli z nami, później myśmy wyjechali, a oni jeszcze zostali. Mie-li jechać jakimś samolotem, czy coś takiego.

Więc Polaków do tego pociągu załadowali, z tym że przez całą tę transsyberyjską drogę z Chabarowska do Moskwy - po parę rodzin wsia-dało do pociągu, dosiedlano ich. Jedziemy zadowoleni, wspominamy, jak to było, snujemy refleksje: czy to było możliwe? Nie mogliśmy uwie-rzyć, że już jedziemy do Polski, że tamto wszystko jest poza nami. Gdzieś pod Irkuckiem wsadzono do pociągu kobietę z trojgem czy czwo-rgiem dzieci i drugą - z chłopcem. Chłopak jak raz zdał maturę i miał zamiar iść na politechnikę w Nowosybirsku. Ale matka wyjeżdżała do Polski, on dostał też papiery i jechał z nią. I ten chłopak gdzieś na którejś stacji zwiął. Więc matka, zrozpaczona, zameldowała, zaczę-li go szukać. Zanim dojechaliśmy do Nowosybirska chłopca znaleźli i dostarczyli do pociągu. Ja przeprowadzałem z nim rozmowę. Pytałem go, dlaczego to zrobił, dlaczego nie chce jechać do Polski. A on mi tak powiedział: "Proszę pana, a co by pan zrobił na moim miejscu? Grób mojego ojca jest tu, na Sybirze. Czy pan by zostawił kości ojca i wy-jechał gdzieś daleko?" Byłem zaskoczony, rozumiałem jego ból, przywią-

zanie, ale mimo wszystko chciałem jakoś wybrnąć. Zacząłem mu tłumaczyć, że wola jego ojca było na pewno, żeby on wrócił do Polski. I na pewno by się z tego cieszył. Że Polska jest taka piękna ojczyzna - prawie o szklanych domach mu opowiadałem, żeby wzbudzić w nim chęć powrotu. Nie wiem, czy mi się to udało, ale już więcej nie uciekał. Wydawało się, że przyjął argumenty do wiadomości. Rozmawiałem też z wieloma innymi ludźmi młodymi, którzy tam peredzili się i wracali do Polski, nie znali jej jednak. Opowiadałem im, jaka jest ta Polska ale oczywiście opowiadałem im o takiej Polsce, jaką znałem i zostawiłem - sprzed wojny i z czasów okupacji. Nie miałem wyobrażenia o tym, jaka jest teraz Polska i jakie w niej panują stosunki.

Wszystko było pięknie-ładnie, aż zaczęliśmy się zbliżać do Moskwy. Z chwilą, kiedyśmy się do niej zbliżali, ludzie zaczęli się coraz bardziej denerwować. Zaczęły się właśnie między kobietami, swary jakieś, jedna pani drugiej pani zawsze miała coś do powiedzenia. Żeby temu zapobiec ktoś w gronie starszych osób, czy z tego "zarządu" wpadł na pomysł, żeby nadać telegramy do Moskwy, do KC i ambasady, że transport się opóźnia, że dzieci chorują, że wszy w wagonach itd. Nadaliśmy ten telegram. Podobnej treści telegram nadał też ten kapitan NKWD, który z nami jechał. I w Swierdłowsku zatrzymano pociąg, odstawiono na boczny tor, przyszedł przedstawiciel KC i zaczął pytać jakie są skargi i w czym rzecz. Powiedzieliśmy, a on nato: "Wszystko w porządku, tutaj stoją autokary na stacji, proszę ładować się do autokarów, pojedziemy do łaźni, tam się państwo wymyjecie, wykąpiecie, desynfekcję zrobimy, lekarze później przebadają". No i narobiliśmy sobie kłopotu. Zamiast przyspieszyć, przedłużyliśmy podróż o dwa dni. Całe towarzystwo zostało zawiezione do łaźni jednego dnia, drugiego dnia badania, rozmowy. I taki wypadek w łaźni: weszliśmy w łaźni miejskiej na męską stronę - a tam obsługują kobiety, w tym jedna dziewczyna, może miała 18 lat. Władek Cygan zaprotestował (byliśmy zdziwieni, że w normalnej łaźni miejskiej odbywa się to tak

samo prawie, jak w obozie: rozebraliśmy się rzeczy związali i poszły do desynfekcji) - i jedna z tych dziewcząt powiedziała: " A czego ty się wstydzisz, ja nie takich widziałam jak ty". (...) Przeszliśmy nie takie upokorzenia, ta ostatni, jeszcze jedna, nie taka straszna. Po dwóch dniach pociąg pod wieczór ruszył do Moskwy. W Moskwie domagaliśmy się stanowczo ażeby się spotkać z ambasadorem. Ambasador nie przyszedł. Nasi oficerowie (jeden lejtnant, jeden kapitan) poszli w mundurach gdzieś tam do centrali i po jakiejś godzinie wrócili. Ale wrócili już po cywilnemu. I tu mała taka zabawa: zaczęliśmy im krawaty wiązać, kapelusze nadawać fason. Mieli wszystkie rzeczy absolutnie nowe, prosto ze sklepu. Oni oświadczyli nam, że zaraz ktoś bardzo ważny przyjdzie na spotkanie, może ambasador. Po pewnym czasie zjawiają się. Przyszedł minister spraw wewnętrznych Zw. Radzieckich (nie pamiętam nazwiska) w towarzystwie kilku pułkowników, podszedł do nas, otoczyliśmy go. Właściwie rozmawiała z nim taka delegacja, w skład której ja wchodziłem. Tłumaczyliśmy mu, że tak długo jedziemy itd. W końcu ktoś spytał, dlaczego wszystkich Polaków, którzy tam są, nie wypuszczają do Polski. Wiceminister ze zdumieniem powiedział: " No jak to tak, jest ukaz Wierchownogo Sowietu w Moskwie" (czy coś takiego). Na to ja żartobliwie powiedziałem: "Grażdanin minister, 15 tysięcy km. od Moskwy wasze przepisy, prawo, są interpretowane nieco inaczej". Spojrzał na mnie, uśmiechnął się, poklepał po ramieniu : "No ładno (zwrócił się do pułkownika), Pułkownik piszytie". Chodziło o to, żeby podać nazwiska osób, które my pamiętamy. Nas tam było siedmiu czy ośmiu w tej grupie, zaczęliśmy sobie przypominać kolegów, znajomych, których pamiętaliśmy, a którzy zostali. Niewiele tych osób mogliśmy podać, ale lista była dość spora. Wiem na pewno, że osoby, które ja podałem, wszystkie wróciły. Spotykałem się później z nimi. Nie mogli wyjechać z różnych powodów. Albo siedzieli jeszcze w obozach jako więźniowie, albo nie byli wezwani do powrotu. Ale podaliśmy ich na listę. Nie wiem, co oni tam zrobili,

w każdym razie później opowiadali (zwolnieni) że nie bardzo wiedzieli jak to się stało, że nagle znaleźli się na liście do wyjazdu do Polski. Niektórzy wyjechali do Lwowa i tam robili starania, w każdym razie wszyscy wrócili.

Po tej rozmowie - było to jak raz na andrzejki 55 roku, a jeden pan był Andrzej, urządziliśmy taki mini-koncert. Była z nami jedna śpiewaczka, artystka z lwowskiego teatru, samotna pani z dzieckiem, bardzo sympatyczna, miła, wesoła. Powiedziała, że może nam zaśpiewać. Połączono to z imieninami. Był jeden akordeon (Zbyszek Romankiewicz miał, więc pożyczył), ta pani świetnie grała na akordeonie i zaczęła śpiewać polskie piosenki przebojowe, różne tanga. No więc sensacja na stacji w Moskwie, zaczęli gromadzić się ludzie, Rosjanie. "Jedut polkie artysty!" Do tego doszło, że musiano ten pociąg przerzucić na drugi koniec stacji, bo wokół naszego pociągu zebrał się wagon ludzi.(...) Po paru godzinach pojechaliśmy z Moskwy do Kijowa, nie na Brześć, jak było początkowo, i Warszawę, ~~Nagle zmieniono trasę~~ lecz do Kijowa i z Kijowa na Lwów. Nagle zmieniono trasę. W Żytomierzu wysiadłem na stacji kupić jabłka. Sprzedawała jakaś kobieta z dziewczynką. Byłem z Jaśkiem Stańskim, podchodzimy, po rosyjsku prosimy o kilogram jabłek. Zaskoczenie: kobieta zwraca się do dziewczynki i mówi po polsku: "Zosiu, zważ tym panom kilogram jabłek!" Była to Polka urodzona w Żytomierzu, tam mieszkała. Między sobą oni mówili po polsku. Więc mała przyjemna rozmowa - a skąd, a gdzie, wymiana grzeczności.

Jechaliśmy dalej. Za Zbruczem (nie pamiętam, jak się nazywała ta miejscowość) pociąg zatrzymał się na dłużej i w tej miejscowości był kościół, do któregośmy poszli. Po ponad 10 latach pierwszy kościół, który zobaczyłem i byłem w nim. Ksiądz Polak, staruszek, bardzo serdecznie nas przywitał, ale był bardzo zaskoczony, bardzo biedny, taki zdziwiony jakiś: jak to, Polacy do Polski z Kołymy! To było dla niego coś nieprawdopodobnego. W każdym razie był zaszokowany.

Myśmy byli byrdzo ucieszeni, to było przeżycie. Dojechaliśmy do Tere<sup>ar</sup>spola. Tu następne spotkanie: dyżurny ruchu był Polak, który się tu został. Znowu rozmowa po polsku. Na stacji w Tarnopolu podchodzi do mnie kapitan (ten, który z nami jechał) NKWD i mówi: "Słuchaj, ktoś mnie pytał, czy możecie udekorować pociąg flagami. Pytaliśmy w Moskwie, nie mamy nic przeciwko temu, możecie sobie udekorować". Później pytaliśmy - nikt się z takim pytaniem nie zwracał. Zamiast wprost powiedzieć "udekorujcie pociąg" - to zaczął tylnymi drzwiami. Ale to nam wystarczyło. Z Tarnopola do Lwowa pociąg był udekorowany. Na każdym wagonie było po 8 malutkich chorągiewek, a na lokomotywie duża biało-czerwona chorągiew. Tylko dwie czerwone chorągiewki na wagonie, w którym jechali enkawudziści. Tak udekorowany pociąg we Lwowie wywołał sensację. Rozeszło się to szybko po Lwowie, więc masa Polaków przyszła na stację. Polacy jadą!

Ja z Jaśkiem Stańskim wyszliśmy do miasta (chcieliśmy kupić szampan, żeby uczcić potem szampanem granicę, okazało się, że szampana nie było, kupiliśmy portwein). Mieliśmy we Lwowie znajomą, ciocią Gronostalską - tak ją nazwaliśmy. Kobieta, która przez wiele lat będąc we Lwowie, pomagała bezinteresownie Polakom w obozach. Przesyłała paczki, książki, gazety, listy, pocieszała. Kobieta - bohater. Robiła wszystko, co mogła. Ja sam, aczkolwiek tej kobiety przedtem nigdy nie znałem, nie widziałem, dostałem od niej kilka paczek jak byłem na Dnieprskim, na wolności cały czas korespondowałem z nią. I chcieliśmy odwiedzić tę kobietę we Lwowie. Wzięliśmy taksówkę, kierowca Ukrainiec nie bardzo się orientował, gdzie jest ta ulica (Targowa czy Towarowa), więc pytam go po ukraińsku, czy jest Lwowiakiem. Tak. "No to przed wojną ta ulica się nazywała tak i tak". - "Ale ja jestem Lwowiakiem od 45 roku". Jakoś mu wytłumaczyliśmy, Jaśko był ze Lwowa, znał tę okolicę. Nie zastaliśmy jednak cioci Gronostalskiej, sąsiedzi nam powiedzieli, że poszła...na dworzec. Minęliśmy się. Zanim wróciliśmy, jej już nie było.

Weszliśmy również do restauracji. Przy wejściu stało dwóch portierów, którzy mieli za zadanie nie wszystkich wpuszczać. Ponieważ mieliśmy biało-czerwone wstążeczki, jeden z nich podchodzi i pyta po polsku: "Panowie z Polski?" - "Tak, z Kołomy jedziemy. A pan co tu robi?" Okazuje się, że to Ukrainiec, zna polski, oczywiście, bo przed wojną tym językiem się posługiwał. Prowadzi szatnię, ale jednocześnie zwraca uwagę na gości i nie każdego może wpuścić do tej restauracji. "Jak to?" - "Ano, jak ktoś jest źle ubrany, nie ogolony, podejrzany to nie. Bo to jest restauracja trochę dla elity.

Opodal przedwojennego pięknego dworca, który był odbudowany (pięknie zrobiony chromonikiel, marmur biały i różowy) - stał barak 100, 150 metrów i to była właściwa stacja dla ludności miejscowej. Tłumy ludzi, z plecakami, i z tobołkami, którzy wędrowali i czekali na pociąg. I tu mi się przypomniały czasy okupacji, kiedy to ludzie jeździli na handel z miasta na wieś, w jedną stronę wożąc jakieś rzeczy, a ze wsi przywożąc żywność. Okazało się, że w tych stronach w dalszym ciągu tak sobie ludzie dorabiają.

Na pociąg trzeba było czekać bardzo długo, ponieważ w Związku Radzieckim, jak wiadomo, sprzedaje się tyle biletów, ile jest miejsc. Czasem kilka dni podróżni nocują na stacji, zanim się doczekają miejsc. Wreszcie pociąg ruszył. Między Lwem a granicą w pociągu dokonywana była rewizja. Ja spałem, nagle mnie ktoś budzi. Jest jakiś oficer NKWD i celnik. Pytają, co wiezę. Miałem jakiś sygnet, złoty zegarek, aparat. "Co jeszcze?" - "Różne rzeczy". - "Dziękuję". Więcej nie kontrolował, nie otwierali mi walizek. Natomiast koledze Cyganowi, który przed wojną był celnikiem w Kapitanacie portu w Gdyni, przewrócili wszystkie rzeczy do góry nogami, wszystko skontrolowali. Mnie ten enkawudzista zabrał wszystkie dokumenty. Byłem trochę mało zorientowany, jak zapytał, jakie mam dokumenty, wyjąłem portfel. Była w nim książeczka pracy, zaświadczenia jakiegoś, opinie. Wszystko

mi zabrał, powiedział, że mi to niepotrzebne. Granicę przejechałem bez dokumentów. Był jeszcze przykry wypadek: Po wyjeździe ze Lwowa jedna z jadących z nami staruszek zmarła. Nasz kapitan enkawudzista powiedział: "Posadźcie ją i nie ruszajcie! Bo znów zatrzymają pociąg, będą kłopoty z przekazywaniem zwłok i td. Lepiej niech ją pochowają w Polsce". No i posadzili ją, jechała z nami w pozycji siedzącej. Przyszedł celnik i kontrola to powiedzieliśmy, że babcia jest chora i śpi - przeszli. I tak przyjechała do granicy polskiej. Dopiero na granicy zgłosiliśmy zgon.

Spotkanie z granicą. Nad ranem, jest już szare (a w pasie granicznym na stopniach stali enkawudziści, pociąg zatrzymał się na chwilę na samej granicy, ci enkawudziści zeskoczyli i pociąg znów wolniutko zaczął ruszać), stoimy wszyscy w oknach, widzimy biało-czerwony słup i obok stoi żołnierz polski z karabinem. Pociąg jechał wolniutko, więc chłopcy wyskakiwali, dopadli tego żołnierza, obejmowali go, ściskali, całowali. Chłopak był bardzo zdziwiony - co się nagle stało? No, ale to było spotkanie! Ostatniego żołnierza polskiego widzieliśmy w 1939 roku. Akowcy nie nosili takich mundurów. Więc z "prawdziwym" żołnierzem polskim spotkaliśmy się po kilkunastu latach.

Przyjechaliśmy do Przemyśla. A tu przedstawiciele radia, prasy. Robili wywiady, ciekawiło ich, skąd myśmy przyjechali itd. Różnie im odpowiadano: jedni mówili prawdę, inni w jakiś sposób ich czarowali. Koło mnie stał Bolek Szlászberger, akowiec (...) i Jaś Stański. Podchodzi do nas (dziennikarz) i mówi: "No, panowie jesteście młodzi, możecie powieście, co wyście tam robili w Związku Radzieckim?" Bolek go pyta: "Panie, powiedzcie panu prawdę, czy bałak (bałag?) zasunąć?" - "A co to jest bałak?" - "Wie pan, to jest po lwowsku takie kłamstwo". - "No nie, oczywiście prawdę!" - "No to taki a taki synu, to ty nie wiesz, skąd myśmy przyjechali?" Ten zwinął szybko mikrofon i u-

ciekł. Ale poszedł do drugiego, który mu zasunął bakag, że pracował, doroślił się.

W Przemyśle podstawiono autokary i zawieziono nas do Żurawicy. Tam był specjalnie przygotowany obóz dla repatriantów. Przejmowano nas, nocowaliśmy tam, wyrabiano dokumenty. W autokarze siedział ko-  
ło mnie pan Mieczysław Waksman (...), jechał Wacek Kopisto ps"Kraak",  
kapitan cichociemny z żoną, jechał Stański, Bolek Szlosberger. Zbli-  
żamy się do Żurawicy i widzimy z obu stron dzieci szkolne z chorą-  
giewkami białe-czerwonymi i kwiatami nas witają. Strasznie mi się  
zrobiło dziwnie, żeby zaczęły napływać do oczu. Trochę się zawstydzi-  
łem, ale spojrzałem wokół. Obok mnie pan Waksman, stary oficer, też  
płakał. Płakał również Wacek Kopisto, cichociemny - płakali wszy-  
scy w autokarze. To było najsympatyczniejsze spotkanie - po wielu,  
wielu, latach.

W Żurawicy zakwaterowano nas, zaprowadzone na śniadanie, pie-  
rwsze polskie śniadanie: kawusia z mleczkiem, rogaliki - rzeczy nie  
spotykane w Rosji. Potem do lekarza, badania, wypisywanie dokumen-  
tów. Dokument wyrobiono mi tak: poszedłem do stołu, gdzie siedzia-  
ła siedemnastoletnia dziewczyna, harcerka. Spytała: "Jak się pan na-  
zywa" - "Feliks Milan" - "W którym roku urodzony i gdzie?" - "W roku  
takim a takim w Drohebyczu". - "Gdzie pan był?" - "W Magadanie" -  
"Gdzie pan jedzie?" - "Do Łodzi". Zapisła. - "Proszę bardzo. To jest  
dokument. Pan przyjedzie do Łodzi i na tej podstawie panu wydadzą  
dowód osobisty. To w tej chwili jest dokument podstawowy w Polsce,  
innego pan nie ma. Na tej karcie repatriacyjnej (mam ją do dzisiaj)  
odnotowano, że dostałem 1000 zł. Uprzedzono, że jest to duża suma  
żebym uważał. I darmowy bilet z Przemyśla do Łodzi. Ale żeby dostać  
ten bilet, musiałem mieć zaświadczenie od lekarza, że jestem zdolny  
do odbywania samodzielnie dalszej podróży. Poszedłem do lekarza:  
"Ale ja muszę pana zbadać". Bada. "Proszę pana, ale może pan poje-  
dzie do

Saratowium.



- "Panie doktorze, po co mi sanatorium?" - "Niech pan odpocznie, skorzysta". - "Panie doktorze, 12 lat nie widziałem matki, a pan chce żebym jechał do sanatorium odpoczywać?". Bez słowa wypisał mi zaświadczenie.

Pierwszym pociągiem wieczorem odjechałem do Łodzi. Dopłaciłem do drugiej klasy (wtedy były trzy). Jechał ze mną w przedziale jakiś kolejarz. Początkowo mi się przypatrywał, później zaczął rozmawiać. Dopłaciłem, bo myślałem, że może się prześpić. Do samej Łodzi nie spałem, wypaliłem dwie czy trzy paczki papierosów "Białomer-kanal". Byłem bardzo zdenerwowany. Do Łodzi przyjechałem rano. Wydała mi się strasznie niesympatyczna. (Dzień) był jak ten, w którym zostałem aresztowany, w którym szedłem do więzienia, z tym, że wtedy był to październik, teraz grudzień. Wziąłem taksówkę. Taksówkarz spytał, skąd jadę. "Ze Związku Radzieckiego". A on mówi: "No wie pan, dziwię się, że pan wraca! Przecież tam jest daleko lepiej!" To było bardzo przykre zetknięcie się z Łodzią. Ja uważałem, że mnie spotkało szczęście, on, że bardzo nierozsądnie zrobiłem, wracając do Polski. Nie wiem, kto to był.

Przyjechałem do domu. W domu była tylko matka. Podobno brat wyszedł na stację, ale mnie nie poznał, ponieważ zostawiłem go 16letnim chłopcem, a teraz to był dorosły mężczyzną po studiach. Matka uklękała - bardzo, bardzo płakała. W końcu zaczęła mnie oglądać: czy ten sam. Nie wierzyła, że ja wróciłem. Jakoś się uspokoiła, zjedliśmy śniadanie i poszedłem spać. Po pewnym czasie budzi mnie brat. Przyleciał, zaczął mnie ściskać. W końcu przyszedł ojciec z pracy. I ojciec się zapytał tak: "Słuchaj, gdzie ty byłeś tyle lat?" Powiedziałem ojcu, gdzie byłem. (ostatnie zdania pan Milan mówi przez łzy)

No i zacząłem urządzać się w Łodzi.. W grudniu nie pracowałem, w styczniu poszedłem do pracy, później do szkoły, zdałem maturę.

Po maturze poszedłem na studia. W 58 roku przyszedłem do pracy w Urzędzie Wojewódzkim, pracowałem jako urzędnik. Z inspektora awansowałem po paru latach na kierownika oddziału. W 75 roku na skutek reorganizacji administracji państwowej poszedłem pracować do NIK-u, tam pracowałem 4 i pół roku. Stamtąd odszedłem, ponieważ jako prawnik chciałem pracować w swoim zawodzie. Już miałem umowę o radcostwo, ale dostałem niespodzianie propozycję na dyrektora (vice) szpitala wojewódzkiego w Tuszanie. Zgodziłem się. Pracowałem tam do 81 roku, w 81 namówiono mnie przejść do Łodzi na Polesie. Tu byłem zastępcą dyrektora ZOZU. W czasie stanu wojennego - nie wiem, dlaczego, do tej pory mi nikt nie powiedział - usunięto mnie z tego stanowiska, przenosząc na stanowisko dyrektora Domu Opieki Społecznej, ale takiego domu, który trzeba było wybudować, zorganizować i uruchomić. Wykonałem to w zaskakująco szybkim tempie, wszyscy byli zaskoczeni. Do dzisiaj jestem tam dyrektorem i pracuję.

I to byłoby wszystko jeśli chodzi o te przeżycia.

Ale korzystając z pewnych notatek, chciałem dać parę osobistych refleksji. W Drohobyczu składałem przysięgę w 43 roku pod krzyżem na cmentarzu (i tam przyjmowałem przysięgi od kolegów), na którym był taki napis wyryty: "Walka o wolność gdy się raz zaczyna, z ojca krwią spada dziedzictwem na syna. Sto razy wrogów zachwiana potęga kończy zwycięstwem". (Kraśiński) Ten napis myśmy się starali zapamiętać. Każdemu wstępującemu do oddziału przypominaliśmy, że podjęliśmy walkę i to jest nasze dziedzictwo. Teraz powiem bardziej szczegółowo o działalności naszego plutonu "Orlęta". Monografia (czyta) "Monografia Plutonu AK "Orlęta". Została ona przesłana do biskupa Tokarczuka i do Londynu.

(Tu pan Milan czyta monografię, której treść, prawie w całości przekazał dosłownie na taśmie 1str.1, strona 5,6,7,18 maszynopisu. Uzupełniam, powtarzając nazwiska ze względu na ew. zniekształcenia lub błędy w słuchaniu).

(...) Bezpośredni kontakt z obwodem AK Drohobycz Miasto płynął za pośrednictwem mgra Wileńskiego, prof. Dyciaka, prof. Moronia, prof. Radziejewskiego, prof. Dzuk-Pilichowską, częściowo przez Zb. Roman-kiewicza i dow. Kedywu ps "Oset".

(...) Feliks Milan zaprzysiężony został przez majora Mroza ps. "Wik-tor" (do str. 5)

(...) Po ciężkim śledztwie w drohobyckim więzieniu przed Wojennym Trybunałem NKGB stanęła grupa 8 żołnierzy plutonu najbardziej zaangażowanych. W dniu 20 marca 45 wydano wyroki:

1. Feliks Milan -ps. "Emir" - 15 lat katorżnych robót
2. Lesław Osmakiewicz ps. "Lister" - 15 lat katorżnych robót
3. śp Zenon Szandrowski - 10 lat robót w łagrach poprawczych
4. Krzysztof Werner ps. "Kmicic" - -"-
5. Janusz Jochman -"-
6. śp Adam Staruszkiewicz -"-
7. śp Roman Machert -"-
8. śp Jan Baszkow -"-

Pozostałych 6 członków plutonu (Roman Milan, Waldemar Olearczyk, Wiesław Siwierski (?), Jerzy Szafran) jeszcze przed zakończeniem śledztwa, bez sądu wywieziono 2 lutego 45 roku transportem do lagru w miejscowości Kamieńsk w Donbasie, skąd po prawie rocznym pobycie wrócili do kraju. Natomiast Mieczysław Gołuch i Stanisław Linder - po krótkim pobycie w śledztwie zostali zwolnieni z więzienia już pod koniec stycznia 45 roku, między innymi dzięki postawie będących w śledztwie pozostałych kolegów. (...) Monografia była opracowana wspólnie (...).

W generalnym skrócie to byłby przebieg tych wydarzeń. Ale powrócę jeszcze do czasów obozowych. Chciałbym tu przedstawić najcięższy okres mojego życia. To były lata 48-50. Wówczas pracowałem w kopalni (...).

W samej kopalni przy ładowaniu wózków było mi bardzo ciężko. Od czasu do czasu brygadziści (Biełk~~in~~ czy inny) starali ~~mi~~ się mi pomóc. Były dwa miejsca - jedno bunkrowe, praca bardzo niebezpieczna. Wysyłając na bunkier brygadziści nigdy nie wyznaczali, pytał, kto pójdzie na ochotnika. Miałem dość życia i pracy, chciałem, żeby to się skończyło, więc się zgłosiłem. Przede mną na tym stanowisku w krótkim czasie czterech obsługujących bunkier zostało zabitych przez urywający się ~~wózek~~ wózek, który pędził z góry i trzaskał, rozbił na śmierć momentalnie. Pracowałem tam do końca zimy, kilka razy urywał się ten wózek i ani razu (Chyba opieka boska, łaska) nie zostałem ranny ani zadraśnięty. Potem byłem na odwale, kopcu. Praca trudna ze względu na temperaturę i wiatry (...). W zimie nie było chętnych na odwał, znowu szedłem na ochotnika, bo byłem zrezygnowany - może prędzej się wyczerpię, może śmierć będzie wyzwoleniem. Tak myślałem w tamtych czasach. Żadnej nadziei. (...) Natomiast popełnić samobójstwa nie mogłem. Kilka razy z takim zamiarem nosiłem się, nie mogłem go zrealizować: albo coś przeszkadzało, albo sam się zastanowiłem.

Po takiej pracy wracaliśmy do obozu. Barak ciemny, zimny, ściany oblodzone. W środku rozgrzana beczka rozgrzana do czerwona, do której więźniom podchodzić nie było wolno, bo kryminalni zabraniali, chcieli, żeby ciepło dochodziło do nich, a mieścili się w końcu baraku, więc nikt z więźniów nie mógł zasłaniać tego ciepła. W tymże baraku człowiek, gdyocąc z zimna, jakoś parę godzin przesypiał, rano rozgrzewał się jakąś ciepłą zupą i tak w kółko. (...)

Co dziesiąty dzień był wolny od pracy, tzn. od pójścia do kopalni. W tym dniu ci, którzy byli na odpoczynku, mieli obowiązek iść do lasu po drzewo. Po wyjściu brygad do pracy naradzycy z nadzorcą biegali po barakach, wyłapywali tych wszystkich, którzy byli na wolnym, formowali brygadę. Szła ona w góry (3-5 km), pod górę zaśnieżoną - po to drzewo, taką kosodrzewinę (słannik), którą trzeba było wrywać spod śniegu, wiązkę sobie zawiązać i z tą wiązką na plecach

wracać do obozu. Któregoś dnia była straszna pogoda, strasznie wiało mróz - tak że jak zaczęliśmy się wspinać pod górę (była mgła), to konwojenci zostali, kazali nam samym iść na górę, taka zamieć. Każdy starał się jak najszybciej złapać jakąś gałąź, ściągnąć na dół. Wtedy sobie odmroziłem piętę i palec. Po powrocie zjadłem obiad i poszedłem do ambulatorium. Lekarza nie było. Wpadł nadzorca Iwanow, szczególnie okrutny typ. Miał taki zwyczaj, że brał z portierni wszystkie kajdanki jakie były i nie uspokoił się, dopóki tych kajdank w obozie nie rozdał. Wtedy przychodził z powrotem na portiernię i zapalał papierosa. Dopadł mnie: "Masz iść drugi raz po drzewo!" - "Nie pójdę". - "Ach tak? Nie pójdziesz?" - Kajdanki i karcer. Wsadził mnie do karceru. Było to pomieszczenie, w którym nie było szyb, tylko kraty. I tam przeskakowałem z nogi na nogę. Rękami ruszyć nie mogłem, dlatego że radzieckie kajdanki tak były spreparowane, że jak się poruszało rękami - zaciskały się. Więc trzeba było ręce trzymać nie ruszając, bo uciskały aż do zupełnego zdrętwienia. Ze mną siedzi w karcerze jeden młody chłopak, kryminalny (przestępstwo gospodarcze) trzymający z błatnymi, na ich posługach. W nieprzyjemny sposób mi przygadywał, próbował ze mną rozmawiać, ja nie chciałem, to nie był towarzysz do rozmowy, z widzenia go znałem. I tak chodząc grzaliśmy się. W pewnej chwili obok przechodził komendant obozu, kpt. Guziew. Zatrzymał się, posłał któregoś więźnia na portiernię po klucze od karceru, wszedł, stanął przede mną i pyta, za co się tutaj dostałem. Mówię, że mam wolny dzień, że byłem do południa po drzewo, że odmroziłem sobie piętę i palec, że chciałem iść do lekarza, a nadzarciciel Iwanow złapał mnie (...) i wsadził. Nic nie powiedział, tylko posłał po Iwanowa, kazał mnie rozkuć i wypuścił do baraku mówiąc: "Idź, oddychaj!" No ale dzień już przeszedł, została godzina.

Pozostałe wolne dni wyglądały podobnie. Część więźniów starała się ukryć w jakiś sposób, ale to było niebezpieczne. Jeśli to był

inny nadzorca, nie Iwanow, to nie starał się znaleźć takiego, wyjaśnić, dlaczego go nie ma. Natomiast Iwanow był na tyle skrupulatny, że musiał znaleźć więźnia, a jeśli nie znalazł, to później jeszcze bardziej znęcał się nad nim, pisał raporty, wsadzał do karczeru. Więc więźniowie raczej starali się mu nie narażać.

Co pewien czas, co 2-3 miesiące był zabieg higieniczny -baniak- łaźnia. Łaźni nie było, więc ten Iwanow wpadł na genialny pomysł, że zbuduje łaźnię z lodu. Zbudował z brył śnieżnych pomieszczenie, pośrodku wstawił żelazny piecyk z rurą na zewnątrz, na piecyku baniak, w którym grzała się woda i kilka ławek po przegach. Należało wejść do tego lodowatego domku, rozebrać się do naga, dostawało się deko czy dwa mydła, kilka kubków ciepłej wody i trzeba było się umyć. Rzeczy dawało się do desynfekcji. To był taki olbrzymi kocioł, gdzie parą desynfekowali. W tym lodowatym pomieszczeniu, jeśli człowiek, cały dygocąc z zimna, umył twarz, to było bardzo dobrze. Bo i mydła i wody nie wystarczało mu na więcej. Po takim rozmazaniu brudu, przy bardzo dokładnym przemarznięciu ubierało się w te rozparzone łachy i szło się do baraku. Oczywiście ani wszy nie były wytepiene, ani człowiek wymyty. To była taka impreza pseudo-higieniczna. W ciągu zimy 4-5 razy byłem w tej łaźni, a zima miała 9 miesięcy. Rano człowiek się prawie nie mył. Jeśli się zdobyło trochę wody, to się przemyło trochę oczy. Mijał dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu - aż była wiosna. Jak już było ciepło, można się było umyć zimną wodą, ale normalnie. Chociaż ludzie głodni, zmęczeni, zrezygnowani, nie zabiegali o te zabiegi higieniczne, nie zależało im. Mnie przynajmniej było wszystko jedno czy jestem czysty, czy brudny. Dokuczał mi tylko mróz, wszy i głód. I brak snu. Snu wyjątkowo mi było brak.

Praca była jakimś takim uśmierzeniem bólu, bo pracując człowiek był stale zmęczony tak, że coraz mniej, coraz słabiej reagował, lub nie reagował wcale nato, co było wokół.

Z wyżywieniem było różnie. Na początku, jak przyjechaliśmy, to karmiono nas amerykańskimi kluskami, tzw łopsza i pszonem. Na pudełku (UNRRA przekazywała to Związkowi Radzieckiemu) był przepis na przyrządzenie tego prosa w kilku językach, m. in. w polskim. "Wrzucić do wrzátku, gotować 5 minut" itd. To była jedyna lektura polska, z którą się zetknąłem w czasie pobytu w obozie. Jak była zupa z kluskami, to na drugie było pszeno, a jak była zupa z pszeno, to na drugie kluski. Zupy ok. pół litra, może trochę więcej i czerpak <sup>kaszy</sup> (lub klusek - 200g na obiad. I kawałek chleba, w zależności od tego, jaka się wypracowało normę. Więc najmniejsza 600, później 700, 800, 900 gram, wreszcie 1200 gram. Czasem brygady szczególnie dobrze pracujące dostawały podwójne normy. Swego czasu pracowałem w takiej brygadzie Biełkina, strasznie głupi, bo Ukrainiec, który chciał się przypodobać władzom. Był okrutny do tego stopnia, do tego stopnia znienawidzony przez więźniów, że jak go spotkało nieszczęście i przywalił go kamień w kopalni i zabił go - wszyscy z ulgą odetchnęli i orzekli: "Dobrze mu tak, w końcu jednej swołoczy mniej". Mnie również popychał, groził, ale brygada wykonywała wysoką normę i otrzymywała b. w wysokie przydziały żywności. Tylko co z tego? Człowiek przemęczony i przepracowany nie jest w stanie zjeść. Bywało tak, że przychodzili z pracy i zasypiali przy jedzeniu, albo nie jedli, tylko kładli się od razu spać.

Więc w okresie początkowym te kluski, łopsza lub pszeno. Do tego ryba i początkowo amerykański biały chleb. Te były lata 45-46. Skończyły się przydziały amerykańskie, generalnie zaczęto w obozie odżywiać produktami chińsko-japońskimi. Więc pojawił się ryż i taka kasza gaolian, podobna do naszej gryczanej, tylko większa. I oczywiście soja. I był na okrągło gaolian, ryż i soja. A później jeszcze została się tylko soja. I z soi chleb wypiekano, strasznie ten chleb wyglądał, nie można go było pokroić, chleb brało się do czapki, bo rozsypywał się cały. No i oczywiście herbata - jakiś napój trochę

zafarbowany rano i wieczorem.. Rano była zupa, chleb i kawałek śledzia.. Na obiad zupa, kasza i kawałek chleba. Na kolację zupa, przeważnie z ryby, chleb, Jeśli ktoś miał dodatek, dostawał jakąś zapiekankę, zależnie od normy. Jeżeli przydział dzienny chleba był 600g, to rano dawano 250g, na obiad 200g, wieczór 150g. Jeśli 900g, to rano 400, na obiad 300, 200g wieczorem.

Jak się skończyła soja - przeszło się na produkty radzieckie. To już był jeden wielki koszmar. Zupa z pokrzywy, z kapusty, jakiejś zieleniny. Czasem było napisane w jadłospisie, że kasza z dziczyzną. Dziczyzna to były wrony, wróble, inne ptaki. Jak je dopadli, to odzielali z pierza i wrzucali do kotła.

(... Powtórzenie relacji o błatnych i Szyszłowie , patrz str 55 maszynopisu, uzupełniam przepisując tylko fakty nowe) Był u Wołodi Szyszłowa taki Wiflancew w brygadzie. Chłopak był w tzw. ochronie, jak pracowałem w szpitalu, na wieżyczce stał z karabinem. Miał nieduży wyrok, jakies tam dwa czy trzy lata. Jak przyszedł nowy system berka-gu, zdjęli go z ochrony i posłali na roboty. I pyamiętam, jak go spotkałem w brygadzie Szyszłowa. Chłopak jak mnie zobaczył, zbladł, przeraził się. Poprosił mnie do kąta i błagał na wszystkie sposoby, żebym go nie wydał przed błatnymi, że był w ochronie. "Bo oni by mnie zgwałcili, zamordowali, zabili". Nie miałem zamiaru go wydawać, starałem się go rozumieć. Był w tej ochronie, bo ratował swoje życie (..) niewiele on tam miał do powiedzenia.(...) A że nikomu o tym nie mówiłem, był bardzo do mnie przywiązany, oddany. Szanował mnie. Szyszłow też wiedział, że on był w ochronie, ale też nic nie mówił, tolerował go. Wołodia był inny niż wszyscy brygadziści. Kiedyś posłał mnie "na kuchnię" po kaszę dla elity. Kucharz miał dać dodatkowo 8 czy 10 miseł kaszy, ja niosłem trzy porcje i w baraku jedną postawiłem na beczce z wodą. Odszedłem parę kroków do stołu i ktoś mi tę kaszę ukradł. Przerażony byłem strasznie, poszedłem do Wołodi i mówię: "Słuchaj, ukradli mi kaszę". Oczywiście uwierzył mi, wyzwiał od niedorajdów i po-



wiedział: "Ja temu swełoczy pokażę, który ukradł". Za parę minut ktoś z więźniów, chcąc się przypodobać brygadziście, zameldował, kto ukradł tę kaszę, Wołodia podszedł do winowajcy, jednym uderzeniem ręki powalił na ziemię (uderzył w brzuch), ten zwymiotował, zabrali go do szpitala i prawdopodobnie zmarł. Jeśli chodzi o kradzież pajki, czyli chleba lub kaszy, prawo obozowe było okrutne. Nieszczęsny sprawca narażał się na karę śmierci przez zlincowanie. Widziałem przypadek, kiedy faceta za kawałek chleba zabili. Po prostu tak go bili, skakali po nim w baraku, kopali go aż człowiek przestał się ruszać. (...). Znow powtórzenie relacji o Szyszłowie, patrz str. 55 masz., uzupełniam tylko) Szyszłow był bardzo miły, wyrozumiały, aczkolwiek żył według praw, które obowiązywały w obozie. Okrutny był dla tych, którzy naruszali to prawo, wyrozumiały dla swojej brygady. Jego brygada nie pracowała ciężko, miała dobre wyżywienie (umiał to zrobić) Będąc silnym człowiekiem niejednokrotnie pracował, nawet za kilku. Nie znęcał się nad słabymi. Mile go wspominam, jego i Paszkę Gerlina (...). Bo brygadziści byli najczęściej ludzie okrutni - jak kapo w niemieckich obozach. Znęcali się nad więźniami, żeby osiągnąć normy, być zauważenymi.

(... Fragment powtórzony, o Zinczence zabitym pięcią przez Polaka, patrz str. 62 maszynopisu. Tam Zinczenko występuje jako Zoryn) Któregoś dnia Zinczenko w brygadzie karnej będąc zauważył, że któryś więzień nie pracuje. Złapał kawałek trzonu od łopaty i zaczął go okładać strasznie. Zobaczyli to nadzercy i powiedzieli, że zostanie brygadziście. Odtąd cieszył się zaufaniem, miał specjalne wyżywienie, ubrany był inaczej, w nowy kożuszek, nowe walonki, nawet nosił krótkie włosy, co było absolutną rzadkością. Prawdopodobnie to był jakiś oficer NKWD, który przeszedł do Niemców). Takie to były wydarzenia w tym obozie jeśli chodzi o wydawanie ~~sędów~~ samosądów i wyroków. Pamiętam, jeden dziennikarz z Kazachstanu, w lecie, w czasie pracy przy myciu złota niezbyt się wywiązywał ze swoich obowiązków. Któryś z tych podłych brygadzistów podszedł do niego i zaczął krzy-

czeń. Chciał go uderzyć. Ten, niewiele myśląc, odwrócił się i łopatą przeciął mu głowę na pół. Samosady więc były na porządku dziennym. Nie było tygodnia czy miesiąca, żeby więźniowie nie dokonywali kilku.

Na czwartym łagpunkcie na "Masymie Gorkim" w lecie pracowałem na agregacie do mycia złota. "Prybor" nazywał się, to była taka duża beczka z bunkrem, tam na taśmociąg buldożer spychał piasek. Jak nie było buldożera, więźniowie piasek wozili taczkami. Taśmociąg podawał piasek do góry, do beczki, tam się to mieszało z wodą, przemywało. Byłem kiedyś przy obsłudze tego taśmociągu. Przede mną pracował tam Chińczyk, oficer marynarki chińskiej. Nie znał rosyjskiego, stale protestował przeciwko czemuś, nikt go nie rozumiał, nie słuchał. Po kolejnej próbie złożenia petycji (czy coś takiego) znów mu odmówiono. Poszedł do pracy i wsadził głowę między bęben a tę gumową taśmę. Zmiażdżowało go. Był tam sympatyczny brygadzysta, inżynier z zawodu, Charczenko. Bardzo przyzwoity facet, kulturalny. Postawił mnie przy obsłudze taśmociągu. Trzeba było uważać, żeby taśmą szła równo, nie ślizgała się, nie boksowała, żeby tam coś nie wpadło. Miałem nieszczęście, że zagapiłem się, wpadł tam jakiś ostry żelazny pręt i rozciął taśmę na długości 50 m. Wstrzymano produkcję na ładne parę godzin. Mistrz (wolny) był wściekły. Ja stałem wystraszony, a ten leci do mnie z siekierą. I gdyby nie ten Charczenko, który złapał go w ostatniej chwili za rękę, chyba by mi rozciął głowę tym toporem. Doszło do spięcia między brygadzystą a wolnym majstrem, w końcu zdjęli mnie stamtąd, ale Charczenko nie pozwolił mnie ruszyć. Przeniesiono mnie do innej brygady, bo mistrz ogroził się, że się ze mną rozliczy.

Kiedyś pracowaliśmy w kopalni. Pod koniec szychty spieszyliśmy się, robiliśmy porządek. A trzeba było pracować na kolanach, kopalnia niska, więc ciężko. Brygadzysta Andriej, banderowiec (trochę dziwnie na mnie patrzył jako na Polaka, ale szczególnie mnie nie szykanował) zarządził przerwę na papierosa (pierekurkę). Andriej

i cała brygada siadła pod ścianą, a ja po przeciwnej stronie, gdzie była zlodowaciała ziemia. Brygadzysta mówi: "Może się oderwać i cię zabije". Powiedziałem, że mi wszystko jedno. I palimy. On mówi: "Jak chcesz, będzie o jednego Polaka mniej". Wstałem, żeby siaść koło niego. Jeszcze nie zdążyłem usiąść - cztery tony opada na miejsce, gdzie przed chwilą siedziałem. Wszyscy zbledli, a ten Andrzej: "Chyba cud, dlaczego przeszedłeś?" - "Nie wiem, coś mnie tknęło". Dosłownie sekunda! Kilkakrotnie w kopalni jak były zawały, zasypywało - uciekałem. Po nogach mnie ziemia i kamienie biły, a ja uciekłem. Czasem się zdarzało, że idącemu przede mną kamień na głowę upadł, zranił - a ja przechodziłem nietknięty.

(... Powtórzenie fragmentu o pracy w kasie i aferze Andro, tu opowiedziane bardziej składowo, trochę więcej szczegółów /str.2 t.8/ strona maszynopisu 60)

(...) Powtórzenie historii pracy w stolarni i odejściu z niej, patrz 61 strona maszynopisu).

Będąc na zesłaniu w Ortokanie nie byłem pozbawiony praw obywatelskich. Wobec tego jak było głosowanie, to głosowałem. Głosowałem na Aristowa, generała inżyniera Dalstroju (nazwa przedsiębiorstwa /?/), później był ambasadorem w Polsce. Dyrektorem naczelnym był niejaki generał-minister Nikiszow, postać znana z okrucieństwa, szef NKWD. Za jego przyzwolnieniem i na jego oczach ginęło tysiące ludzi. Rozstrzeliwano z jego polecenia. Za jego rządów samosady może były nieco mniejsze. Przed nim natomiast był Garin, okrutny człowiek, który wydawał samowolne wyroki. Zwykle przyjeżdżał do obozu w nocy, budził komendanta (naczelnika) obozu, prosił, żeby mu dawać wykaz brygad. I przeważnie było tak: brygada, która wykonała 120 proc. normy - rozstrielat! Brygada, która wykonała 95 proc. normy - rozstrielat! I tak kilka brygad - a nawet listy imienne, z każdej brygady potrafił wybrać po dwóch-trzech ludzi bez żadnej zasady, nie wiadomo według jakiej reguły. W każdym razie jak przychodził, jakąś liczbę ludzi

musiał skazać na śmierć. Przed jego wyjazdem z obozu wyprowadzali tych nieszczęśliwych z obozu, puszczano traktor - i rozstrzeliwano. I tak jeździł po wszystkich łagrach i dziesiątkował więźniów. Siał strach, terror, skazywał za byle jakie przewinienie na dodatkowe wyroki.

W tym czasie płacono więźniom za pracę, zarabiali mnóstwo pieniędzy, mieli po prostu całe poduszki pieniędzy. Ale zasypiali przy jedzeniu, bo na sen mieli 2-3 godziny, cały pozostały czas musieli pracować. To były rządy Garina (chyba tak nazywał się). Po wojnie okazało się, że był on "wrogiem ludu". Puszczono bajeczkę, że podobno właściwy naczelnik Dalstroja jechał gdzieś, gdzieś go szpiedzy japońscy w drodze złapali i zabili i podstawili na jego miejsce tego człowieka, który był wrogiem rewolucji i działał na niekorzyść władzy sowieckiej. Tylko po śmierci tego faceta (stracono go) nie zmieniono ani jednego wyroku, który wydał, nie zrehabilitowano ani jednego człowieka, ani nie dano odszkodowania żadnej rodzinie za to, że strzelał.

W czasie wojny był tam też taki przypadek: Któregoś roku przyjechał wiceprezydent Stanów Zjednoczonych. Wylądował na lotnisku w Susumanie chyba i przyjechał do Magadanu. W tym czasie w Magadanie i wokół Magadanu zniesiono wszystkie wieżyczki obozowe. Sklepy zapełniono towarami radzieckimi. Jak mi opowiadał naoczny świadek - na srebrnych tacach na wystawach leżały owoce, produkty. Wiceprezydent chodził z szefem Dalstroju po ulicach miasta bez żadnego konwoju, wchodził do sklepów, rozmawiał z ludźmi. Tylko nie wiedział o tym, że to byli wszystko przebrani enkawudziści. Oni też nie mogli nic kupować, wszystko było tylko na pokaz. Enkawudziści po cywilnemu i ich żony, żadnych prywatnych ludzi ani więźniów. Z chwilą, kiedy wiceprezydent odjechał, przeświadczony, że Związek Radziecki to cudowny kraj, że Kłyma jest mlekiem i miodem płynąca, że tam ludzie mają wszystkiego pod dostatkiem - na drugi dzień był znów głód, nędza, nie było chleba, znowu wieżyczki, druty kolczaste, więźniowie, a enkawudziści

znowu przyodziani w mundury.

Kiedy byłem w Ortokanie, któregoś dnia, a lato było upalne, jeden z naszych chłopców, Polak, też już po obozie, napił się wódki, poszedł się kąpać do jeziora pokopalnianego, skoczył do wody, uderzył gdzieś głową i zabił się. Wypłynął, trzeba go było pochować. Zostawił matkę, która go oczekiwała. Miała jednego syna, specjalnie nie wyjechała do Polski, tylko czekała. Przez wódkę chłopak zginął, lubił wypić. Postanowiliśmy przynajmniej pochować go po katolicku. Żeby był krzyż. Zrobili trumnę, na trumnie jeden krzyż przybili, zrobiliśmy też taki duży drwniany krzyż na grób. Ten krzyż nieśliśmy na zmianę w czasie pogrzebu, w drodze na cmentarz. Pamiętam, niosłem przechodząc koło budynku milicji. W tym momencie wszyscy milicjanci wyszli na ulicę. To było szokujące dla nich - pierwszy pogrzeb z krzyżem w Ortokanie. To był wielki przełom. Zrobili to Polacy. Później już Litwini też chowali z krzyżem, później już nawet Rosjanie, wszystkie pogrzeby były z krzyżami. Oczywiście nie skończyło się to bezkarnie. Jeszcze można mnie było ukarać. Nazajutrz wezwano mnie do kadr i powiadomiono, że mnie oddelegowują do pracy w kołchozie na okres lata. Pomimo że byłem jednym z najlepszych pracowników kontroli technicznej, byłem potrzebny. Wiedziałem, że za ten krzyż. Również innych Polaków poprzynosili na inne stanowiska pracy, oczywiście gorsze. Ale w kołchozie spotkałem niejakiego Henryka Ensa, młodego człowieka, Niemca, którego deportowali z nad Wołgi. Ożenił się z Rosjanką, miał dziecko. Pracował w kołchozie jako ekonomista. Szczęśliwie się złożyło, że nie posłał mnie bezpośrednio na pole, tylko zlecał różne prace do wykonania, np. przeliczenie ludzi, inwentaryzację itp. Było dość ciepło. Jakieś 50 km od Ortokanu kołchoz ten budował pomieszczenia dla hodowli bydła. Rozpoczęli tę budowę, ale nie kontynuowali. Była nie dokończona, ale żeby ktoś nie rozkradł materiałów, był tam staruszek, dozorca i pilnował tego. Pewnego razu dano mi zadanie pojechać tam do niego, dowiedzieć się, co się dzieje. Wytłumaczono

mi mniej więcej, gdzie to w tajdze jest i pojechałem. Zrazu przypadkowym samochodem ciężarowym, a później piechotą drogą wzdłuż strumienia iks kilometrów, drogą w głąb tajgi do tej miejscowości. Spozstrzegłem nie dokończone budynki, odnalazłem lepiankę, pomieszczenie gdzie mieszkał dozorca, Rosjanin. Bardzo sympatyczny staruszek, który był więźniem, zwolnił się i tam mieszkał na odludziu sam, daleko od osiedli. Miał karabin myśliwski, miał wędkę, łowił ryby i polował na niedźwiedzie. Wszedłem do tego niedużego pomieszczenia ze słońca: półmrok, taka jakaś nora. W rogu nary jakieś, na nich łachy, żadnego siennika (tam spał). Był piecyk żelazny, na którym gotował i grzał się. przy nim, jakiś kawałek stolika, jakaś szafka na produkty. Co miesiąc on stamtąd szedł do Ortokanu albo do Jagodnej, żeby sprzedać skórki.

Siedzę z nim w tym pomieszczeniu, palimy papierosa i nagle patrzę, coś białego biega pod nogami. Pytam: "Myszy?" - "Nie, to są gronostaje. Tyle ich tutaj, że sobie rady dać nie mogę. Łapać się nie opłaca, bo za skórę tylko 30 rubli płacą!" Później żałowałem przez dłuższy czas, że nie zakupiłem od niego masy tych skórek przed wyjazdem do Polski. Jakbym przywiózł, to bym zrobił dobry interes. Ale wtenczas nie wpadłem jakoś na ten pomysł.

Opowiadał mi inną ciekawą historię. Polował na niedźwiedzie. Na wiosnę niedźwiedź chodzi i strasznie ryczy. Dlatego, że w czasie snu zimowego zakleja sobie śliną i gliną odbył. Jak wstaje i chce załatwić potrzebę, to mu ten korek nie daje. Dopóki nie oderwie się razem z włosami, niedźwiedź chodzi po tajdze i ryczy. Stąd ryki wiosenne wychudzonych niedźwiedzi. A jak zważyć niedźwiedzia? On bierze jakąś padlinę, ~~zxxkx~~ rozciąga jelita i kiszki. Jak to zaczyna cuchnąć, niedźwiedź przychodzi. Podchodzą prawie pod jego barak i on wtenczas strzela. Niebezpieczna szczególnie w lecie jest niedźwiedzica z małymi niedźwiadkami, "a poza tym to się niedźwiedzia nie boją, one są już w lecie syte, nie podchodzą za blisko człowieka, a nawet jak go

zobaczą, to odchodzą". Miałem wtedy bardzo przyjemną wycieczkę samotną w głąb tajgi, do tego pustelnika, który tam mieszkał zimą i latem. Zapytałem go, czy nie chce gdzieś powracać, a on mówi: "Dokąd? Przecież nikogo nie mam. Jeśli miałem rodzinę, to oni już na pewno powymierali, dzieci nie miałem. Kto mnie pamięta? Jestem tutaj, na Kołymie, od 1937 roku (a był to rok 53 czy 54), nie mam nikogo. Dla mnie rodzina, ojczyzna, to jest tajga. Tutaj nie widzę ludzi, z nikim się nie kłócę, nikt mi przykrości nie robi. A ze zwierzętami umiem się obchodzić, potrafię sobie dać z nimi radę.

# MROŻNE PIEKŁO

Z OKAZJI CZWARTEJ ROCZNICY REAKTYWOWANIA ZWIĄZKU SYBIKÓW PUBLIKUJEMY DZIŚ WSTRZĄSAJĄCE WSPOMNIENIA PANA FELIKSA MILANA - PREZESA ŁÓDZKIEGO ODDZIAŁU TEJ ORGANIZACJI

## KARA ZA PATRIOTYZM

Wybuch wojny przemienił spokojny dom w Drohobyczu w siedzibę konspiratorów. Szwagier Feliksa Milana - harcmistrz Michalski, członek ZWZ - z własną grupą zajął się przerzutami polskich oficerów na Węgry. 17-letni wówczas Feliks trafił do Armii Krajowej. Czymże były, wobec późniejszych przeżyć, takie "epizody" jak napad na niemiecki bank czy transport broni, albo zdobywanie materiałów wybuchowych, uszkodzenie linii telefonicznych i torów kolejowych?...

Rok 1944 przyniósł pozory wyzwolenia. Feliks Milan wrócił do gimnazjum. 10 października odwiedziło go NKGB (jednostka spe-

cialna do walki z wywiadem i kontrwywiadem). Kilku oficerów wyprowadziło zdezorientowanego ucznia z lekcji fizyki i zawiodło wprost do drohobyczowskiego więzienia, a ściśle mówiąc do celi o wymiarach 8 na 10 m, w której siedziało 65 skazanych. Rozpoczęły się nocne przesłuchania; łamały palców, zrywanie paznokci, przypalanie papierosem i bicie pałkami. W dzień nie wolno było spać: strażnicy pilnowali, by więźniowie nie zmrzły oka. Po 6 dobach przesłuchiwany był u kresu wytrzymałości, często tracił przytomność.

## GRA O... UCHO

Sąd składający się z 3 oficerów i oskarżyciela o oczach psychopaty skazał niepełnoletniego wówczas Feliksa Milana na karę 15 lat katorgi za to, że: "(...) należał do organizacji przestępczej o nazwie Armia Krajowa oraz w stosownym czasie nie zmazał winy poprzez zgłoszenie się do Armii Czerwonej (art.54 par.2 i 11 Kodeksu USRR)".

18-letni niedoszły maturzysta zamiast do szkolnej ławki trafił do jednego wagonu ze zdegenerowanymi recydywistami. Rozpoczęła się kilkudobowa podróż w letnim

upale. 107 osób w jednym wagonie dostawało do jedzenia mocno solone śledzie bez kropli wody. Żołnierze ściśle przestrzegali zasady otwierania drzwi.

Jadący z polskimi więźniami politycznymi radzieccy recydywiści zabawiali się grą w karty o ... cudze części ciała. Najczęściej były to uszy, ale nierzadko nosy, ręce nogi, oczy, głowy.

Zasada gry była prosta: grający zastawiał wybraną część ciała jednej z jadących w przedziale osób. Jeśli przegrał - musiał ją odciąć. W noc zesłańców budził przeraźliwy krzyk którejś z ofiar...

Częstą praktyką było też gwałcenie dziewcząt na oczach ich rodziców. Konwojujący zesłańców żołnierze nigdy nie interweniowali.

## ŻYWA SPIŻARNIA

Opisane powyżej praktyki nie zakończyły się wraz z podróżą, lecz trwały przez cały czas pobytu w łagrze.

Miejszem docelowym katorżników była miejscowość o nazwie Niżnij At-Uriach, w której przed laty wybudowano kopalnię złota. Więźniowie pracowali w niej nawet przy 50-stopniowym mrozie. Feliksowi nadano numer W 738 i osadzono w baraku, którego ściany pokryte były szronem.

- Kiedy splunąłem na ziemię, padał sople lodu - wspomina - a kiedy

**WYDAWCA:**  
Niezaletny Instytut  
Wydawniczy  
Oddział w Łodzi  
Piotrkowska 61  
tel/fax 82-88-80  
**REDAKTOR Oddziału:**  
Małgorzata Bartyzel  
**DRUK:**  
Drukarnia Prasowa SA  
al. Piłsudskiego 88



kładłem się spać - czapka, której nie zdejmowałem na noc - przymazała do ściany.

Do pracy w łagrze wyprowadzano więźniów w kajdankach. Po 12 godzinach spędzonych w kopalni skazanych czekała jeszcze 3-4 godzinna praca na rzecz obozu. Chorego, który odmawiał pracy poddawano "testowi na symulację". Zbitego do nieprzytomności ciągnięto po ziemi na trasie od obozu do kopalni. Jeśli przeżył - to znaczy, że symulował. Większość jednak umierała...

Zwłoki układano w sagi po 8-12 sztuk. Mróz konserwował ciała. Chowano je dopiero, gdy na dworze robiło się cieplej. Mimo tak niskiej temperatury nie brakowało chętnych do ucieczki. Na ten krok decydowali się jednak wyłącznie recydywiści. Do ucieczki przygotowali się bardzo starannie. Wybierali jednego, czasem dwóch najmniej wychudzonych "politycznych" w charakterze "żywej spizarni". Gdy kończyły się zapasy żywności - zjadali ich.

#### **NIENAWIDZĘ "CARMEN"**

W łagrze prawie bez przerwy panowały epidemie. Wielu skazanych marzyło o chorobie. Była szansa dostania się do szpitala. Szpital zapewniał większe racje żywnościowe i czyste posłanie. Oczywiście i on nie był bez wad. Na jednym łóżku spalo 3 chorych. Jeśli któryś umarł pozostali nie zgłaszali zgonu, by podzielić się jego racją żywnościową. Prawie każdy pacjent marzył, by śmierć zabrała obu jego "współlokatorów"...

Pewien Gruzin ukłakił któregoś

dnia przed żołnierzami pilnującymi obozu, rozerwał kufajkę na pierśiach i krzyknął: "Strzelajcie. Dłużej nie wytrzymam!". Strzelili. Kilka dni później generał radziecki powiedział podczas wizytacji obozu: "My jesteśmy mądrzejsi niż hitlerowcy. Oni was zabijali i palili w komorach. My was nie będziemy zabijać. Sami zdechniecie!".

Feliks Milan przeżył. Do dziś pa-

mięta brygadziście, który wracającym z kopalni więźniom puszczał na patefonie arie cyganki z opery Carmen. Brygadziście miał na swoim koncie 25 morderstw. Muzyka pobudzała go do działania.

Czas goi rany. Dziś zostały jedynie nocne koszmary i to niezłomne postanowienie: "Nigdy nie pójdę do teatru na Carmen..."

*Magdalena Grochowalska*



**Feliks Milan podczas pobytu w łagrze**